

# MARCEL PROUST

STRONA

GUERMANTES,

CZĘŚĆ DRUGA

Marcel Proust

**Strona Guermites, część druga**

«Public Domain»

**Proust M.**

Strona Guermites, część druga / M. Proust — «Public Domain»,

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

## Содержание

Część druga	5
Rozdział pierwszy	5
Rozdział drugi	21
Конец ознакомительного фрагмента.	39

# Marcel Proust

## Strona Guermantes, część druga

### Część druga

#### Rozdział pierwszy

Choroba babki. Choroba Bergotte'a. Książę i lekarz. Ostatnie chwile babki i jej śmierć.

Przebyliśmy *avenue Gabriel* w tłumie przechodniów. Posadziłem babkę na ławce i poszedłem po fiakra. Ona, w której serce wnikałem zawsze aby osądzić najmniej znaczącą osobę, była teraz dla mnie zamknięta, stała się częścią zewnętrznego świata. Bardziej niż przed lada przechodniem musiałem taić przed nią to co myślę o jej stanie, taić przed nią swój niepokój. Nie mogłbym z nią mówić o tem szczerzej niż z obcą osobą. Zwróciła mi oto myśli, zgryzoty, które od czasu dzieciństwa powierzyłem jej na zawsze. Nie umarła jeszcze. Byłem już sam. I nawet te aluzje, jakie robiła do Guermantów, do Moliera, do naszych rozmów o „paczce” Verdurinów, zdawały się czemś bez oparcia, bez przyczyny, czemś fantastycznym, bo wychodziły z nicości tego samego jestestwa, które – jutro może – nie miało już istnieć, dla którego słowa te nie będą już miały żadnego sensu – z owej niezdolnej ich pojąć nicości, jaką będzie moja babka niebawem.

– Drogi panie, zapewne, owszem, ale pan nie zamówił godziny, nie ma pan numeru. Zresztą to nie jest mój dzień przyjęć. Państwo muszą mieć swojego lekarza. Ja nie mogę mu wchodzić w drogę, o ile mnie nie wezwie na konsylium. To kwestja etyki lekarskiej...

W chwili gdy kiwał na fiakra, spotkałem sławnego profesora E..., niemal przyjaciela mego ojca i dziadka, w każdym razie dobrego ich znajomego, który mieszkał przy *avenue Gabriel*. Wiedziony nagłem natchnieniem, zatrzymałem go w chwili gdy wracał i pomyślałem, że mógłby być znakomitą pomocą babce. Ale on, spiesząc się, wziąwszy swoją pocztę, chciał mnie spławić; mogłem z nim mówić jedynie w windzie. Prosił, abym mu zostawił manipulację guzikami, to była jego manja.

– Ale, panie profesorze, ja pana nie proszę żeby pan przyjął babkę, zrozumie pan z tego co panu powiem, że stan jej nie pozwoliłby... Przeciwnie, ja pana proszę, żeby pan zechciał zająć do nas za pół godziny, kiedy ona wróci.

– Zajść do państwa, ależ, drogi panie, niepodobieństwo! Mam obiad u ministra handlu, muszę przedtem odbyć jedną wizytę, zaraz się muszę ubierać; na dobitkę frak mi się rozdarł, a drugi nie ma tasiemki na ordery. Proszę pana, niech pan będzie tak dobry nie ruszać windy, nie umie pan manipulować, trzeba być ostrożnym w takich rzeczach. Spóźnię się przez ten frak! Wreszcie, przez przyjaźń dla pańskiej rodziny, gdyby babka pańska zaraz tu przyszła, przyjąłbym ją. Ale uprzedzam, że nie mogę jej ofiarować więcej niż kwadrans.

Wróciłem natychmiast, nie wysiadając nawet z windy, którą profesor E... osobiście spuścił na dół, przyjrawszy mi się z nieufnością.

Powiadamy wszyscy, że godzina śmierci jest niepewna, ale kiedy to mówimy, wyobrażamy sobie tę godzinę jakgdyby w mglistej i odległej przestrzeni; nie myślimy, aby miała jakkolwiek związek z zaczętem już dniem i aby mogła znaczyć, że śmierć – lub pierwsze jej częściowe objęcie nas w posiadanie, po którym już nas nie wypuści – mogłoby nastąpić tegoż samego popołudnia, tak określonego, tego popołudnia, w którym plan wszystkich godzin jest wytyczony z góry. Przestrzegamy zwykłej przechadzki, aby mieć w ciągu miesiąca ogólną sumę świeżego powietrza; wahamy się jaki wziąć płaszcz, jakiego fiakra, sadowimy się, dzień cały jest przed nami

– krótki, bo chcemy wrócić na czas z powodu jakiejś schadzki, chcielibyśmy aby nazajutrz było równie ładnie, i nie domyślamy się, że śmierć, posuwająca się w nas na innej płaszczyźnie, w nieprzeniknionym mroku, wybrała właśnie ten dzień aby wstąpić na scenę, za kilka minut, bez mała w chwili gdy powóz wjedzie na Pola Elizejskie. Może ci, których zazwyczaj oblega groza dziwności związanej ze śmiercią, znajdą coś uspokajającego w tym rodzaju śmierci – w tym rodzaju pierwszego z nią kontaktu – bo śmierć staje się w ten sposób czemś jakby znanym, poufałym, codziennym. Poprzedziło ją dobre śniadanie, spacer – taki sam, jaki odbywa wielu zdrowych. Powrót otwartym powozem następuje po pierwszym jej zamachu; mimo groźnego stanu babki, ostatecznie wiele osób mogłoby powiedzieć, że o szóstej, kiedyśmy wracali z Pól Elizejskich, kłaniali się jej, widząc ją w cudną pogodę, w otwartym powozie. Legrandin, który szedł w stronę placu Zgody, ukłonił się nam przystając zdziwiony. Ja, który nie byłem jeszcze oderwany od życia, spytałem babki, czy mu się odkłoniła, zwracając jej uwagę że on jest drażliwy. Ale babka, uważając zapewne że jestem bardzo dziecinny, podniosła rękę jakgdyby mówiąc: „Cóż to wszystko znaczy? to nie ma żadnego znaczenia”.

Tak, możnaby powiedzieć, że, podczas gdy ja szukałem fiakra, babka siedziała na ławce w avenue Gabriel; że trochę później jechała otwartym powozem. Ale czyby to była prawda? Na to aby stać w alei, ławka – mimo że i ona podlega pewnym warunkom równowagi – nie potrzebuje energii. Ale, aby żywa istota była czemś stałym – nawet oparta na ławce lub w powozie – trzeba napięcia sił, którego nie czujemy zwykle, tak samo jak nie czujemy ciśnienia atmosfery, dlatego że działa ze wszystkich stron. Gdyby w nas uczynić próżnię i poddać nas ciśnieniu powietrza, wówczas przez chwilę poprzedzającą nasze zniweczenie, uczulibyśmy może straszliwy ciężar nie zrównoważony niczem. Tak samo kiedy się w nas otwierają otchłania choroby i śmierci i kiedy nie możemy już nic przeciwstawić zgiełkowi, z jakim świat i nasze własne ciało rzucają się na nas, wówczas wytrzymać nawet ciężar naszych mięśni, nawet dreszcz pustoszący nasz szpik, wówczas nawet trwać nieruchomo w pozycji, którą uważamy zazwyczaj za czysto bierną, to – o ile chcemy aby głowa trzymała się prosto a spojrzenie zachowało spokój wymaga nakładu energii i staje się przedmiotem wyczerpującej walki.

I jeżeli Legrandin przyjrzał się nam zdziwiony, to dlatego, że jemu, jak innym przechodniom, w tym fiakrze, w którym babka napozór siedziała, wydała się ona czemś zapadającym się, osuwającym się w przepaść; czepiająca się rozpaczliwie poduszek, które ledwie mogły przytrzymać jej walące się ciało, z włosami w nieładzie, z błędnym wzrokiem, niezdolna już stawić czoła naporowi obrazów, których nie mogła przyjąć jej źrenica. Była, mimo iż siedząc koło mnie, zanurzona w owym nieznanym świecie, gdzie już doznała ciosów, których ślady nosiła kiedyś ją ujrzał przed chwilą na Polach Elizejskich, gdy jej kapelusz, jej twarz, jej płaszcz nosiły ślady ręki niewidzialnego anioła, z którym stoczyła walkę. Myślałem później, że ten atak nie musiał całkowicie zaskoczyć babki, że może przewidziała go długo naprzód, że żyła w jego oczekiwaniu. Oczywiście, nie wiedziała kiedy ta fatalna chwila przyjdzie; niepewna, podobna w tem do kochanków, którym tego samego rodzaju wątpliwość każe naprzemian snuć niedorzeczne nadzieje i nieusprawiedliwione posądzenia na temat wierności ich lubej. Ale rzadko się zdarza, aby owe wielkie choroby – jak ta, która wreszcie ugodziła babkę wprost – nie zamieszkały na długo wprzód w chorym zanim go zabiją, i aby w tym okresie nie nawiązały z nim rychło znajomości, niby towarzyski sąsiad lub lokator. Straszliwa to znajomość, nietyle przez cierpienie jakie sprawia, ile przez niesamowitą nowość ostatecznych ograniczeń, jakie nakłada życiu. Człowiek ogląda wówczas swoją śmierć nie w samej chwili śmierci, ale na miesiąc, czasem na lata naprzód, od czasu jej ohydnej w nas zamieszkania. Chora zapoznaje się z tym obcym, którego słyszy przechadzającego się po swoim mózgu. Zapewne, nie zna go z widzenia, ale z ciągłych hałasów wnosi o jego obyczajach. Czy to złoczyńca? Pewnego rana, nie słyszy go już. Poszedł. Och! gdybyż na zawsze! Wieczorem wrócił. Co on ma za zamiary? Domowy lekarz, poddany śledztwu niby ubóstwiana kochanka, odpowiada zapewnieniami, którym jednego dnia się wierzy, innego nie. Zresztą, lekarz ma tutaj rolę nietyle kochanki, ile rolę badanych służących. To są tylko „osoby trzecie”. Istotą, którą przyciskamy do muru, którą podejrzewamy o gotowość zdrady, jest samo życie; i – mimo

iż czujemy że ono nie jest już to samo, wierzymy w nie jeszcze, czepiamy się bodaj wątpliwości, aż do dnia w którym nas wreszcie opuści.

Wsadziłem babkę do windy; po chwili wyszedł profesor i wpuścił nas do gabinetu. Ale tam, mimo całego pośpiechu, szorstki wyraz twarzy lekarza zmienił się; tak bardzo mocne są przyzwyczajenia, on zaś miał zwyczaj być miły, nawet jowialny z chorymi. Wiedząc że babka jest bardzo czytana (jak i on), zaczął jej przez parę minut recytować piękne wiersze o promiennem lecie, które właśnie było. Posadził chorą w fotelu, sam siadając pod światło, aby ją dobrze widzieć. Badał ją drobiazgowo, kazał mi nawet wyjść na chwilę. Jeszcze badał, poczem – mimo iż kwadrans dobiegał końca – znów zaczął częstować babkę cytatami. Rzucił nawet parę wcale dowcipnych żarcików, które byłbym wolał usłyszeć innego dnia, ale których ton uspokoił mnie kompletnie. Przypomniałem sobie, że Fallieres, prezydent senatu, miał przed wielu laty fałszywy atak; że, ku rozpaczy swoich współzawodników, wrócił w trzy dni potem do zwykłych funkcji i gotował się, jak mówiono, kandydować w nieokreślonej przyszłości na prezydenta Republiki. Ufność moja w rychłe wyzdrowienie babki była tem pełniejsza, ile że, w chwili gdy sobie przypomniał przykład pana Fallieres, wyrwał mnie z moich myśli szczery wybuch śmiechu, którym profesor E. zakończył jakąś anegdotę. Poczem wyciągnął zegarek, zmarszczył nerwowo brwi widząc że się zapóźnił o pięć minut, i zegnając się z nami, zadzwonił, aby mu natychmiast podano frak. Puściłem babkę przodem, zamknąłem drzwi i prosiłem uczonego, żeby mi powiedział prawdę.

– Pańska babka jest stracona, rzekł. Atak uremii. Sama w sobie uremia nie jest absolutnie śmiertelna, ale ten wypadek wydaje mi się rozpaczliwy. Nie potrzebuję panu mówić, iż pragnąłbym się myśleć. Zresztą, mając doktora Cottard, jesteście państwo w wybornych rękach. Daruje mi pan, rzekł widząc pokojówkę niosącą jego frak. Mówiłem panu, że mam obiad u ministra, przedtem jeszcze wizytę. Ha! w życiu nie stąpamy po samych różach, jak się mniema w pańskim wieku.

I podał mi uprzejmie rękę. Zamknąłem drzwi, lokaj przeprowadził mnie wraz z babką, kiedy usłyszeliśmy głośnie wybuchy gniewu. Pokojówka zapomniała przyszyć tasiemkę na ordery. To znów potrwa dziesięć minut! Profesor grzmiał jeszcze, gdy ja patrzałem w progu na babkę – straconą. Wszelka istota jest bardzo samotna. Pojechaliśmy do domu.

Słońce miało się ku schyłkowi, rozplómieniało niekończący się mur, wzdłuż którego fiakier jechał, zanim skręcił w naszą ulicę. Rzucony przez zachodzące słońce cień konia i powozu odcinał się czarno na rdzawem tle, niby wóz żałobny na pompejańskiej terrakocie. Wreszcie przybyliśmy. Posadziłem chorą na dole w sieni i poszedłem uprzedzić matkę. Powiedziałem, że babce zrobiło się trochę niedobrze, zawrót głowy. Od pierwszych słów, twarz matki dosięgła paroksyzmu rozpaczy, ale tak już zrezygnowanej, iż zrozumiałem, że od lat miała ją w sobie w pogotowiu na niepewny dzień katastrofy. Nie pytała o nic; możnaby rzec, iż, tak samo jak złość lubi przesadzać cierpienia drugich, tak ona przez czułość nie chciała dopuścić, aby stan matki był groźny, a zwłaszcza aby mógł dotknąć władz myśli. Mama drżała, twarz jej płakała bez łez; zawołała aby posłano po lekarza, ale kiedy Franciszka spytała kto jest chory, matka nie mogła odpowiedzieć, głos uwiązał jej w gardle. Zeszła biegnąc ze mną, tamując łkanie, które marszczyło jej twarz.

Babka czekała na kanapce w sieni, ale kiedy nas usłyszała, wstała, wyprostowała się, zaczęła do mamy wesoło kiwać ręką. Owinąłem jej głowę białą koronką, mówiąc że to dlatego żeby się nie zaziębiła na schodach. Nie chciałem, aby matka zbyt wyraźnie zauważyła zmianę twarzy, skrzywienie ust. Ale ostrożność moja była daremna; matka zbliżyła się do babki, ucałowała jej rękę jak rękę swego Boga, podtrzymała ją, przydźwigała ją aż do windy, z nieskończonymi ostrożnościami, w których, obok obawy niezręczności i sprawienia jej bólu, była pokora istoty jakby niegodnej dotknąć czegoś najcenniejszego. Ale ani razu nie podniosła oczu, nie popatrzyła w twarz chorej. Może dlatego aby babka nie zasmuciła się myślą, że jej widok mógł zaniepokoić córkę. Może przez lęk przed bólem zbyt silnym, z którym nie miała odwagi się zmierzyć. Może i przez szacunek, bo nie sądziła, aby jej wolno było bez świętokradztwa stwierdzić jakiś ślad upośledzenia umysłowego na tej uwielbionej twarzy. Może aby zachować nietknięty obraz prawdziwej twarzy swej matki, promieniejący rozumem

i dobrocią. Toteż jechały w górę siedząc obok siebie, babka wpeł zakryta matyłą, matka odwracając oczy.

Była natomiast przez ten czas inna osoba, nie spuszczała oczu ze zmienionej twarzy babki, w którą córka nie miała spojrzeć; osoba wlepiająca w tę twarz osłupiałe, niedyskretne i złowróżbne spojrzenie: była nią Franciszka. Nie znaczy to aby nie kochała szczerze babki (sprawił jej nawet zawód, niemal zgorszył ją chłód mamy, która, wedle niej, powinna się rzucić z płaczem w ramiona matki), ale miała wrodzoną skłonność widzenia wszystkiego z najgorszej strony. Zachowała z dzieciństwa dwie właściwości, które powinnyby się wykluczać, ale które, kiedy się spotykają z sobą, wzmacniają się wzajem: prostactwo chłopów, którzy nie starają się ukryć wrażeń, nawet przerażenia, obudzonego w nich widokiem zmian fizycznych, których delikatniej byłoby nie zauważyć, i nieczułą srogość wieśniaczki, obrywającej skrzydła ważkom, zanim będzie miała sposobność skręcać szyję kurczętom i nie posiadającej wstydlivosti, któraby jej kazała ukryć ciekawość cudzego cierpienia.

Kiedy, dzięki niezrównanym staraniom Franciszki, babka znalazła się w łóżku, uczyła że mówi o wiele swobodniej. Naddarcie lub zatkanie naczyń spowodowane uremią musiało być bardzo lekkie. Wówczas babka pomyślała o mamie, chciała jej być pomocą w najokrutniejszych chwilach jakich zaznała w życiu.

– No cóż, dziecko, rzekła biorąc ją za rękę, drugą zaś ręką zasłaniając usta, aby tem upozorować lekką trudność, jakiej doznawała jeszcze wymawiając pewne wyrazy; więc ty tak żałujesz matki! Myślisz, że to przyjemna rzecz taka niestrawność?

Wówczas po raz pierwszy oczy matki wpiły się namiętnie w oczy babki, nie chcąc widzieć reszty twarzy. Otwierając listę owych fałszywych zaklęć, których nie możemy dotrzymać, matka rzekła:

– Mamo, będziesz niedługo zdrowa, córka ci za to ręczy.

I wkładając swoją najsilniejszą miłość, całą swoją wolę wrócenia matce zdrowia, w pocałunek, któremu powierzyła tę miłość i tę wolę i któremu towarzyszyła swoją myślą, całym swoim jestestwem aż po kraniec warg, złożyła pokornie i nabożnie ten pocałunek na ubóstwianem czole. Babka skarżyła się na zator kołder, wciąż tworzący się uparcie z tej samej strony na lewej nodze. Ale nie zdawała sobie sprawy, że to ona sama jest tego przyczyną, tak iż codziennie niesłusznie winiła Franciszkę, że źle prześcieliła łóżko. Konwulsyjnym ruchem odrzucała na tę stronę całą falę pieniących się koców z cienkiej wełny, które się tam gromadziły niby piasek w zatoce, bardzo szybko zamulonej (o ile się nie zbuduje tamy) ciągłym osadem przypiływu.

Matka i ja (kłamstwo nasze natychmiast odgadła Franciszka, przenikliwa i brutalna) nie chcieliśmy nawet mówić, że babka jest bardzo chora, jakgdyby to mogło zrobić przyjemność wrogom, których zresztą nie miała, i jakby czulej było sądzić że nie jest z nią tak źle. Był to ten sam instynkt który kazał mi przypuszczać, iż Anna zanadto boleje nad Albertyną, aby ją miała bardzo kochać. Te same zjawiska powtarzają się w wielkich momentach, zarówno w poszczególnych osobach jak w masach. W czasie wojny, ktoś kto nie kocha swojego kraju, nie mówi o nim źle, ale wierzy w jego klęskę, boleje nad nim, widzi rzeczy czarno.

Franciszka oddawała nam nieskończone usługi dzięki swojej zdolności obywatela się bez snu, dopełniania najcięższych robót. Kiedy się poszła położyć po kilku nieprzespanych nocach, jeżeli trzeba ją było wołać w kwadrans po tem jak zasnęła, była tak szczęśliwa że może robić rzeczy uciążliwe niby coś najprostszego w świecie, iż bez najmniejszego szemrania okazywała tylko pełne skromności zadowolenie. Jedynie kiedy przyszła godzina mszy i pierwszego śniadania, wówczas, choćby nawet babka konała, Franciszka wymknęłaby się w porę aby się nie spóźnić. Młody służący przydany jej do posługi nie mógłby jej zastąpić, zresztą nie zgodziłaby się na to. To pewna, że Franciszka wyniosła z Combray bardzo wysokie pojęcie o obowiązkach każdego wobec nas; nie zniosłaby, aby który z naszych ludzi „chybił” nam. Zrobiło to z niej tak szlachetną, tak władczą i skuteczną wychowawczynię, że nie zdarzył się u nas służący na tyle zepsuty, aby szybko nie zmienić

i nie oczyścił swoich pojęć o życiu, aż do tego stopnia że wyrzekał się „koszykowego” i rzucał się – choćby przedtem był najmniej usłużny – aby mi wziąć z ręki lada paczkę i nie dać mi się męczyć. Ale równocześnie Franciszka nabyła w Combray przeniesionego później do Paryża zwyczaju nie znoszenia żadnego pomocnika w swojej pracy. Wszelka pomoc zdawała się jej ubliżeniem. Czasem, przez całe tygodnie służący nie uzyskał od niej odpowiedzi na ranne dzieńdobry, czasem zgoła wyjechał na wakacje bez jej pożegnania, nie mogąc zgadnąć czemu; a w istocie z tej jednej przyczyny, że któregoś dnia, kiedy Franciszka była niezdrowa, chciał odrobić za nią trochę roboty.

Obecnie, kiedy babka była tak chora, robota tem bardziej zdawała się Franciszce jej własnością. Niby primadonna, nie dałaby sobie odebrać roli w te galowe dni. Toteż młody służący, usuwany przez nią, nie wiedział co robić, i nie poprzestając na tem że czerpał, jak Wiktor, papier listowy z mojego biurka, zaczął jeszcze zabierać tomy poezyj z mojej biblioteki. Czytał je po całych dniach przez podziw dla poetów co je ułożyli, ale także poto, aby przez resztę czasu zdobić cytatami listy do przyjaciół na wsi. Z pewnością zamierzał olśnić ich w ten sposób. Ale ponieważ był niezbyt rozgarnięty, ubrdał sobie, że te znalezione w mojej bibliotece poematy są czemś powszechnie znanem, na co można się powoływać. Tak iż pisząc do tych chłopków, których zdumieniem z góry się cieszył, własne refleksje przeplatał wierszami Lamartine'a, tak jakby mówił **pomagaj Boże** lub zgoła **dzieńdobry**.

Z powodu bólów, pozwolono dać babce morfinę. Nieszczęściem, uśmierzając bóle, morfina zwiększała równocześnie ilość białka. Ciosy które wymierzaliśmy w chorobę zamieszkałą w babce, trafiały zawsze fałszywie; to ona, to jej biedne ciało otrzymywało je, przyczem ona odpowiadała na nie jedynie słabym jękiem. A bólów któreśmy jej sprawiali nie przeciwważyła ulga której nie mogliśmy jej przynieść. Zaledwie się nam udało musnąć okrutne cierpienie którebyśmy w niej chcieli zniweczyć; przywodziłiśmy je tylko do tem większej wściekłości, przyśpieszając może godzinę, w której branka stanie się jego pastwą. W dniu, w które ilość białka była zbyt znaczna, Cottard po chwili wahania odmawiał morfiny. U tego tak mało inteligentnego, tak przeciętnego człowieka, w tych krótkich chwilach kiedy się zastanawiał, kiedy ważył niebezpieczeństwa dwóch sposobów leczenia aby się zatrzymać przy jednym, było coś z wielkości wodza, który, pospolity we wszelkiej innej sferze, jest wielkim strategiem, i w groźnym momencie, pomyślawszy chwilę, decyduje się na to co skuteczniejsze, mówiąc: „Przegrupować się na wschód”.

Z lekarskiego punktu widzenia, mimo iż mało było nadziei przecięcia ataku uremji, nie trzeba było nużyć nerek. Ale, z drugiej strony, kiedy babce nie dano morfiny, bóle stawały się nie do zniesienia; powtarzała bez końca pewien ruch, który trudno jej było wykonać bez jęku. Cierpienie bywa przeważnie funkcją organizmu uświadamiającego sobie nowy stan który go niepokoi, dostrajającego swoją wrażliwość do tego stanu. Można stwierdzić tę genezę bólu na wypadkach dolegliwości, które nie jednako dokuczają każdemu. Do pokoju pełnego cuchnącego dymu, dwaj mało wrażliwi ludzie wejdą i będą funkcjonowali normalnie; trzeci, delikatniejszy z natury, będzie zdradzał nieustający niepokój. Nozdrza jego nie przestaną chwytać niespokojnie zapachu, którego zdawałoby się – powinienby próbować nie czuć, a który będzie się starał za każdym razem dostosować, przez ściślejsze jego poznanie, do swego urażonego zmysłu powonienia. Stąd pochodzi z pewnością, że żywe zaabsorbowanie czemś każe zapomnieć o bólu zębów. Kiedy babka tak cierpiała, pot spływał po jej wielkiem sinem czole, zlepiając białe kosmyki włosów. Kiedy myślała, że nas nie ma w pokoju, krzyczała: „Och, to straszne!”, ale kiedy spostrzegła matkę, natychmiast obracała całą energję na to, aby usunąć z twarzy ślady bólu, lub przeciwnie, powtarzała tę samą skargę, z towarzyszeniem komentarzy, dających wstecz inny sens słowom dosłyszczanym przez matkę.

– Och, tak, dziecko, to straszne musieć leżeć w ten piękny czas, kiedyby się chciało iść na spacer. Do rozpaczy mnie doprowadzają wasze zakazy!

Ale nie mogła powściągnąć jęku swoich spojrzeń, potu na czole, oraz konwulsyjnego, mimo iż natychmiast powściąganego drgania członków.

– Nie boli mnie; skarżę się, bo tak mi źle leżeć, czuję że mam włosy nie w porządku, nudzi mnie, uderzyłam się o ścianę.

A u stóp łóżka, matka, przykuta do tego cierpienia, tak jakby, przesywając spojrzeniem to bolesne czoło, to ciało które tało chorobę, miała w końcu dosięgnąć ją i usunąć – matka mówiła:

– Nie, mamusiu droga, nie pozwolimy ci tak cierpieć, znajdziemy coś, bądź cierpliwa przez chwilę, czy pozwolisz się ucałować, ale tak żebyś się nie ruszała?

I, pochylona nad łóżkiem, z uginającymi się nogami, w pół klęcząc, jakgdyby w tej kornej postawie skuteczniej mogła ziścić żarliwy dar siebie samej, pochylała ku babce całe własne życie w swojej twarzy niby w cyborjum które jej podawała, zdobne płaskorzeźbą bruzd i fałdów tak namiętnych, tak zrozpaczonych a tak słodkich, że nie wiedziało się, czy je tam wyźłobiło dłuto pocałunku, łkania czy uśmiechu. I babka próbowała zbliżyć do mamy twarz. Była tak zmieniona, że, gdyby miała siłę wyjść z domu, poznanoby ją chyba po piórze na kapeluszu. Rysy jej, jakby pod ręką rzeźbiarza, siliły się niejako – wysiłkiem odwracającym ją od wszystkiego innego – dostroić do jakiegoś nieznanego nam modelu. Ta praca rzeźbiarza dobiegała końca; twarz babki zmniejszyła się a równocześnie stwardniała. Przebiegające ją żyły robiły wrażenie nie marmuru, ale jakiegoś bardziej chropawego kamienia. Wciąż pochylona ku przodowi wskutek trudności oddychania, a równocześnie skurczona w sobie od zmęczenia, twarz jej, zniszczona, zmaląła, okrutnie wyrazista, podobna była do prymitywnej, niemal przedhistorycznej rzeźby, i w rzeźbie tej do surowej, sonej, ceglastej, zrozpaczonej twarzy jakiejś dzikiej strażniczki grobu. Ale dzieło nie było jeszcze skończone. Trzebaby ją potem skruszyć, a potem spuścić w ten grób, którego strzegła tak mozolnie, z tym twardym skurczem twarzy.

W jednej z tych chwil, w których, jak to mówią, nie wiadomo już czego się chwytać, ponieważ babka bardzo kaszłała i kichała, posłuchano rady jakiegoś krewniaka, który twierdził, że specjalista X... kuruje z takich rzeczy w trzy dni. Światowi ludzie opowiadają tak o swoich lekarzach, i wierzy się im, jak Franciszka wierzyła w reklamy dzienników. Specjalista przybył ze swoim etui, naładowanem – niby worek Eola – wszystkimi katarami jego pacjentów. Babka nie chciała się dać zbadać. A my, zażenowani wobec doktora który się trudził na próżno, poddaliśmy się jego chęci kolejnego zbadania naszych nosów, mimo że nie były chore. Ale on twierdził przeciwnie, i że migrena, katar kiszek, choroba serca lub cukrzyca, wszystko to jest zaniedbana choroba nosa. Każdemu z nas oświadczył: „Pan ma tu małe zgrubienie, które chętnie bym poznał bliżej. Niech pan nie czeka zbyt długo. Parę przyżegań uwolniłoby pana od tego”.

To pewna, iż w tej chwili mieliśmy co innego w głowie. Jednak pytaliśmy sami siebie: „Od czego by uwolniło?” Krótko mówiąc, wszystkie nosy były chore; doktor mylił się jedynie, ustalając rzecz w czasie terażniejszym. Bo do jutra jego badanie i jego prowizoryczny zabieg zrobiły swoje: każdy z nas dostał kataru. I kiedy doktor spotkał na ulicy ojca kichającego na umór, uśmiechnął się na myśl, iż nieuk mógłby przypisać tę chorobę jego interwencji. Zbadał nas (wierzył w to święcie) w chwili gdyśmy już byli chorzy.

Choroba babki dała różnym osobom sposobność objawienia nadmiaru lub niedostatku sympatji, które nas zdziwiły w tym samym stopniu, co charakter przypadku ujawniającego nam łańcuchy okoliczności, lub nawet przyjaźni których nie bylibyśmy podejrzewali. A oznaki współdziałania ze strony osób które wciąż przychodziły zasięgnąć wiadomości, zdradzały nam niebezpieczeństwo choroby, któregośmy dotąd nie dosyć zizolowali, nie dosyć oddzielili od tysiąca bolesnych wrażeń odczuwanych przy chorej.

Siostry babki, uprzedzone depeszą, nie ruszyły się z Combray. Odkryły artystę, który je raczył doskonałą muzyką kameralną; w tej muzyce spodziewały się znaleźć, skuteczniej niż przy łożu chorej, bolesne skupienie i podniesienie ducha. Bądź co bądź, forma ta wydała się nam szczególną. Pani Sazerat napisała do mamy, ale jak osoba, z którą nagle zerwane zaręczyny (zerwaniem był dreyfusizm) rozdzieliły nas na zawsze.

W zamian za to Bergotte spędzał co dzień u mnie po kilka godzin. Zdawna lubił zagnieździć się na jakiś czas w domu, gdzie się nie musiał wysilać. Ale dawniej lubił to poto aby mówić bez przerwy; teraz poto aby długo trwać w milczeniu, którego nikt nie przerywał. Bo on był bardzo chory; jedni mówili na białkomocz, jak babka; wedle innych to był nowotwór. Coraz bardziej opadał z sił, z trudem wspinał się do nas na schody, z jeszcze większym trudem schodził. Mimo iż trzymał się poręczy, chwiał się często; sądzę że najchętniej siedziałby w domu, gdyby się nie bał całkowicie odwyknąć od ludzi, wyjść z obiegu, on, „człowiek z bródką”, którego znałem niedawno tak zwawym. Nie widział już prawie, często nawet słowa mu się plątały.

Ale w tym samym czasie, wręcz odwrotnie, dzieła jego, znane jedynie elicie wówczas gdy pani Swann patronowała nieśmiałym próbom ich spopularyzowania, teraz rozrosło i tęgie w oczach wszystkich, zdobyły ogromny rozgłos wśród najszerzej publiczności. Bezwątpienia, zdarza się, że dopiero po śmierci pisarz robi się sławny. Ale Bergotte, jeszcze za życia i w czasie swego powolnego posuwania się ku śmierci, był świadkiem kroczenia swoich dzieł ku sławie. Autor umarły jest przynajmniej znakomitym bez umęczenia. Blask jego nazwiska zatrzymuje się u grobowej płyty. Głuchy i wiekuisty sen broni go od natręctwa Chwały. Ale dla Bergotte'a kontrast ten nie ziścił się całkowicie. Pisarz istniał jeszcze na tyle, aby cierpieć od zgiełku. Poruszał się jeszcze, mimo iż z trudem, gdy jego dzieła, podskakując jak córki które się kocha ale których impetyczna młodość i hałaśliwe zabawy męczą nas, co dnia ściągają do jego łóżka nowych wielbicieli.

Wizyty jego u nas spóźniły się dla mnie o kilka lat, bo już go nie podziwiałem tyle co wprzód. Nie było w tem sprzeczności ze wzrostem jego sławy. Zwykle, zanim jakieś dzieło stanie się całkowicie zrozumiane i zwycięskie, już dzieło innego pisarza, jeszcze nieznanego, zaczyna, u niektórych wybredniejszych, wprowadzać nowy kult w miejsce tamtego, który stał się już niemal powszechny. W książkach Bergotte'a, które odczytywałem często, zdania były moim oczom równie jasne jak własne myśli, jak meble w moim pokoju i dorożki na ulicy. Wszystkie rzeczy widziało się w nich bez trudu, jeżeli nie tak jak się je widziało zawsze, to bodaj tak jak się przywykło widzieć je teraz. Otóż, pewien nowy pisarz zaczął ogłaszać utwory, gdzie związki między rzeczami były tak odmienne od tych które wiązały te same rzeczy dla mnie, że nie rozumiałem prawie nic. Mówił na przykład: „Węże do polewania podziwiała piękny stan dróg” (to było łatwe, pomykałem temi drogami) „wyjeżdżających co pięć minut z Brianda i z Claudela”. Wówczas nie rozumiałem nic, bo spodziewałem się nazwy miasta, a spotykałem nazwisko osoby. Ale czułem, że to nie zdanie jest źle napisane, ale ja nie jestem dość silny i zwinny aby je doścignąć. Rozpedzałem się na nowo, pomagałem sobie nogami i rękami aby dotrzeć do punktu, z któregobym ujrzał nowe związki rzeczy. Za każdym razem, doszedłszy mniej więcej do połowy zdania, opadałem – niby później w pułku przy ćwiczeniu zwanem **portykiem**. Mimo to, żywiłem dla nowego pisarza ów podziw, jaki niezgrabne dziecko, mające „pałkę” z gimnastyki, odczuwa dla innego, zręczniejszego. Odtąd mniej podziwiałem Bergotte'a, którego jasność zdała mi się ubóstwem.

Był czas, kiedy bez trudu poznawano przedmioty gdy je namalował Fromentin, a nie poznawano ich u Renoira. Smakosze mówią nam dziś, że Renoir to jest wielki malarz XVIII wieku. Ale mówiąc tak, zapominają o Czasie, i o tem że dużo go było trzeba, nawet w pełni wieku XIX, aby Renoira uznano wielkim artystą. Aby osiągnąć takie zrozumienie, oryginalny malarz, oryginalny artysta, postępują na sposób okulistów. Leczenie ich malarstwem, ich stylem, nie zawsze jest przyjemne. Kiedy jest ukończone, lekarz powiada do nas: „Teraz patrz”. I oto świat (który nie był stworzony raz, ale równie często jak często zjawiał się oryginalny artysta) ukazuje się nam zupełnie odmienny od dawnego, ale całkowicie jasny. Mijają nas na ulicy kobiety różne od dawniejszych, bo to są Renoiry; owe Renoiry, w których wzdragaliśmy się niegdyś widzieć kobiety. Powozy są też Renoiry, i woda, i niebo; mamy ochotę przechadzać się po lesie podobnym do tego, który pierwszego dnia wydawał nam się wszystkim a nie lasem, na przykład dywanem o barwach bogatych ale pozbawionym właśnie barw właściwych lasom. Oto jest nowy i nietrwały świat, świeżo stworzony.

Będzie trwał aż do następnej geologicznej katastrofy, którą rozpęta nowy oryginalny malarz lub nowy pisarz.

Pisarz, który mi zastąpił Bergotte'a, nużył mnie nie bezładem ale nowością – mającą swój ład związków, do których nie przywykłem. Wciąż ten sam punkt, do którego opadałem, wskazywał na tożsamość każdorazowego wysiłku. Zresztą, kiedy raz na tysiąc razy zdołałem nadażyć pisarzowi aż do końca zdania, to com oglądał odznaczało się zawsze dowcipem, prawdą, urokiem, podobnemi tym które niegdyś znajdowałem w lekturze Bergotte'a, ale w bardziej rozkosznej postaci. I myślałem sobie, że niewiele lat temu, Bergotte przyniósł mi tę samą odnowę świata, podobną do tej, jakiej oczekiwałem po jego następcy. I zaczynałem dumać, czy jest coś prawdy w rozróżnieniu jakie stale robimy między sztuką, która jakoby się nie posunęła naprzód od czasu Homera, a wiedzą z jej nieustannym postępem. Może przeciwnie sztuka podobna jest w tem do wiedzy; każdy nowy twórczy pisarz wydawał mi się postępowym w stosunku do jego poprzednika; i któż mi powie, czy za dwadzieścia lat, kiedy będę mógł towarzyszyć bez znużenia dzisiejszemu nowatorowi, nie zjawi się inny, wobec którego dzisiejszy zleje się z Bergottem?

Wspomniałem Bergottowi o nowym pisarzu. Obrzydził mi go, nietylko przekonywując mnie że jego sztuka jest chropawa, łatwa i czcza, ile opowiadając że on bywa łudząco podobny do Blocha. Obraz ten padł od tego czasu na stronnice książki, sprawiając iż nie czułem się już zobowiązany do wysiłku zrozumienia. Jeżeli Bergotte mówił o tym pisarzu źle, to nie tyle, jak sądzę, przez zazdrość o jego niepowodzenie, ile przez nieznamość jego utworów. Nie czytał prawie nic. Już większość jego myśli przeszła z mózgu w jego książki. Wychudł tak, jakby mu je wycięto. Instynkt rozrodczy nie pobudzał już jego energii, teraz kiedy wydzielił z siebie prawie wszystko co myślał. Prowadził roślinne życie rekonwalescenta, połoźnicy; piękne jego oczy pozostawały nieruchome, nieco olśnione, jak oczy człowieka wyciągniętego nad morzem i w mglistej zadumie ścigającego poprostu bieg każdej małej fali. Zresztą, jeżeli rozmowa z Bergottem mniej mnie interesowała niż dawniej, nie odczuwałem z tego powodu wyrzutów. Podlegał on tak bardzo przyzwyczajeniu, że skoro raz go nabrał, każde, najprostsze czy najwyszukańsze, stawało mu się na jakiś czas nieodzowne. Nie wiem, co go ściągnęło pierwszy raz; ale później przychodził codzień, z tej racji że był wczoraj. Przychodził do nas tak jakby szedł do kawiarni, poto aby doń nie mówiono, aby on sam mógł bardzo rzadko – mówić, tak że, gdyby się chciało wyciągać jakiś wniosek z tej wytrwałości, możnaby ostatecznie znaleźć w niej dowód, że go obeszło nasze zmartwienie lub że znajduje przyjemność w mojem towarzystwie.

Wizyty Bergotte'a nie były obojętne matce, wrażliwej na wszystko w czem można było widzieć hołd dla chorej. I codzień mówiła mi: „Nie zapomnij mu bardzo podziękować, koniecznie”.

Odwiedziła nas w owym czasie pani Cottard. Była to delikatna uprzejmość kobieca; coś niby podwieczorek, który żona malarza podaje między godzinami pozowania; w tym wypadku, gratisowy naddatek do odwiedzin lekarskich profesora. Przyszła nam ofiarować swoją „donnę”; jeżeli wolimy raczej męską usługę, ofiarowała się „podjąć wywiad”; co więcej, wobec naszej odmowy, oświadczyła, iż spodziewa się bodaj, że to nie jest z naszej strony „rekuza dyplomatyczna”, słowo, które w jej świecie oznacza uchylene się od zaproszenia pod fałszywym pozorem. Upewniła nas, że profesor, który nigdy nie mówi w domu o pacjentach, jest tak smutny, jakby chodziło o nią samą. Okaze się później, że nawet gdyby to było prawdą, byłoby to zarazem bardzo mało i bardzo dużo ze strony tego najniewierniejszego i najwdzięczniejszego z mężów.

Propozycje równie użyteczne, a nieskończenie miłsze w formie (będącej połączeniem wysokiej inteligencji, wielkiego serca i rzadkiego wdzięku słowa) przesłał mi następca tronu wielki książę Luxemburski. Poznałem go w Balbec, gdzie odwiedził swoją ciotkę, księżną de Luxembourg, wówczas gdy był jedynie hrabią de Nassau. Zaślubił w kilka miesięcy potem uroczą córkę innej księżnej de Luxembourg, nadzwyczaj bogatej, bo była jedyną córką pewnego księcia, właściciela olbrzymiego przedsiębiorstwa mącznego. Zaczem, wielki książę Luxemburski, który nie miał dzieci i który ubóstwiał swego bratanka de Nassau, uzyskał to, że Izba uznała go księciem-następcą. Jak we wszystkich tego rodzaju małżeństwach, początki majątku są przeszkodą, będąc równocześnie

istotną przyczyną. Zapamiętałem tego księcia de Nassau jako jednego z najniezwyklejszych młodych ludzi jakich spotkałem, już wówczas trawionego posępną i namiętą miłością do swojej narzeczonej. Bardzo mnie przejmowały listy, jakie wciąż pisał do mnie podczas choroby babki; nawet mama, wzruszona niemi, powtarzała smutno określenie swojej matki, że „Sévigné nie wyraziłaby tego lepiej”.

Szóstego dnia, ulegając prośbom babki, mama musiała ją opuścić na chwilę i udać że idzie spać. Chciałem żeby babka usnęła, tem samym żeby się Franciszka nie ruszała. Mimo moich błagań, Franciszka wyszła z pokoju. Kochała babkę; przy swojej trzeźwości wzroku i swoim pesymizmie uważała ją za straconą. Radaby tedy była otoczyć ją wszystkimi możliwymi staraniami. Ale oznajmiono właśnie, że przyszedł monter, zdawna zaprzyjaźniony z jej rodziną, szwagier jej byłego pryncypała, ceniony w naszym domu, gdzie miał pracę od wielu lat, zaprzyjaźniony zwłaszcza z Jupienem. Zamówiono go do roboty, zanim babka zachorowała. Sądziłem, że możnaby go odprawić, albo kazać mu zaczekać. Ale etykieta Franciszki nie pozwalała na to; byłoby to niedelikatnie wobec tego zacnego człowieka, choroba babki już się nie liczyła za nic. Kiedy, po kwadransie, zrozpaczony, poszedłem po Franciszkę do kuchni, zastałem ją rozmawiającą z monterem w sieni przy otwartych drzwiach. Proceder ten miał tę zaletę, że pozwalał – skoro nadszedł ktoś z nas – udać, że się właśnie mieli rozstać; ale miał tę wadę, że powodował straszliwe przeciągi. Franciszka pożegnała tedy montera, śląc za nim jeszcze parę hałaśliwych komplementów pod adresem jego żony i szwagra. Tę tak charakterystyczną dla Combray troskę aby nie uchybić grzeczności, wносиła Franciszka nawet w swoją politykę zagraniczną. Głupcy wyobrażają sobie, że wielka skala zjawisk społecznych najlepiej pozwala wnikać w sekrety duszy ludzkiej; powinni by przeciwnie pojąć, iż większą mieliby szansę zrozumieć te zjawiska zstępując w głąb jakiejś indywidualności. Franciszka tysiąc razy powtarzała ogrodnikowi z Combray, że wojna jest najniedorzeczniejszą zbrodnią i że niema nic ponad życie. Otóż, kiedy wybuchła wojna rosyjsko-japońska, czuła się zażenowana wobec cara, żeśmy nie wydali wojny aby pomóc tym „biednym ruskom”, skoro się „jest w aliansach”, powiadała. Uważała, że to nie ładnie wobec Mikołaja II, który zawsze miał dla nas takie dobre słowa; był to wyraz tej samej etykiety, któraby jej nie pozwoliła odmówić Jupienowi kieliszeczka, mimo iż wiedziała że ją to „spiera i mgli”. Ta sama etykieta sprawiała, że wobec tak bliskiej śmierci babki, sądziłaby iż popełnia tę samą nieuprzejmość, o jaką oskarżała Francję wraz z jej neutralnością, gdyby nie przeprosiła osobiście pocziwego montera, który sobie zadał tyle trudu.

Na szczęście pozbyliśmy się prędko córki Franciszki, która musiała wyjechać na kilka tygodni. Do zwykłych rad, jakie dawano w Combray rodzinie chorego: „Nie próbowaliście państwo małej podróży, zmiany powietrza, czegoś na apetyt etc.”, osoba ta dodała myśl niemal jedyną, którą sobie specjalnie ukuła i którą powtarzała niestrudzenie przy każdej sposobności, jakgdyby chcąc ją wbić w głowę drugim: „Powinna się była leczyć **radykałnie** od początków”. Nie zalecała jakiejś specjalnej kuracji jako lepszej od innej; chodziło tylko o to, aby kuracja była **radykałna**. Franciszka znowuż zauważyła, że się babce daje mało lekarstw. Ponieważ, wedle niej, lekarstwa służą tylko na to żeby popsuć żołądek, była z tego rada, ale jeszcze bardziej upokorzona. Miała na południu Francji krewnych – stosunkowo bogatych – których córka, zachorowawszy młodo, umarła licząc dwadzieścia trzy lat; w ciągu kilku lat rodzice jej zrujnowali się na lekarstwa, na doktorów, na wędrowniki od jednych „wód” do drugich – aż do końca. Otóż Franciszka brała to u tych krewnych za rodzaj zbytku, tak jakby mieli konie wyścigowe, willę na wsi. I oni sami, przy całym zmartwieniu, czerpali pewną próżność z tyłu wydatków. Nie mieli już nic, nie mieli zwłaszcza swego najszacowniejszego dobra, swojej córki, ale lubili powtarzać, że zrobili dla niej conajmniej tyle co najbogatsi. Zwłaszcza pochlebiali im promienie ultrafioletowe, których działaniu poddawano nieszczęśliwą przez całe miesiące po kilka razy dziennie. Zbolały i dumny z siebie ojciec dochodził czasem do tego, że mówił o córce niby o gwiazdzie baletu, dla której by się zrujnował. Franciszka nie była nieczuła na taką wystawę; ta która otaczała babkę wydawała się jej zbyt skromna, w sam raz dla choroby na scenie prowincjonalnej.

Przyszła chwila, że zaburzenia uremiczne rzuciły się na oczy. Przez kilka dni babka zupełnie nie widziała. Oczy jej nie były wcale podobne do oczu ślepeca, nie zmieniły się. To, że nie widzi, zrozumiałem jedynie z jakiegoś specjalnego powitalnego uśmiechu, jaki przybierała kiedy ktoś otworzył drzwi, aż do chwili kiedy się ją wzięło za rękę; uśmiech ten zaczynał się za wcześnie i trwał na ustach, stereotypowy, stały, ale zawsze zwrócony wprost, tak aby go było widać ze wszystkich stron, bo nie było już wzroku aby go miarkować, aby mu wskazać chwilę, kierunek, aby go regulować, cieniować, w miarę zmiany miejsca lub wyrazu twarzy wchodzącej osoby; dlatego że był sam, bez uśmiechu oczu, któryby odwrócił trochę od niego czyjąś uwagę, przez co, w swojej niezaradności, przybierał nadmierny akcent, stwarzając wrażenie przesadnej uprzejmości.

Potem wzrok wrócił całkowicie; z oczu, choroba rzuciła się na uszy. Przez kilka dni babka była głucha i bojąc się aby jej nie zaskoczyło czyjeś nagłe wejście, którego by nie usłyszała, co chwila (mimo iż leżąc do ściany) zwracała gwałtownie głowę ku drzwiom. Ale ruch jej był niezręczny, bo niepodobna się człowiekowi dostroić w ciągu kilku dni do tej transpozycji, aby, jeżeli nie patrzeć na hałasy, to przynajmniej słuchać oczami.

Wreszcie bóle zmniejszyły się, ale zaburzenia mowy wzrosły. Trzeba było kazać babce powtarzać prawie wszystko co mówiła.

Obecnie, czując że jej nie rozumieją, babka przestała wogóle mówić i leżała nieruchomo. Ilekroć mnie spostrzegła, zrywała się jak ci którym nagle zbraknie powietrza; chciała coś przemówić, ale wydawała jedynie niezrozumiałe dźwięki. Wówczas, pokonana własną bezsilnością, pozwalała głowie opaść, wyciągała się na łóżku, z poważną, marmurową twarzą, z bezwładnymi rękami na kołdrze, lub zajęta czysto mechaniczną czynnością, na przykład wycieraniem palców chustką. Nie chciała myśleć. Potem ośwładnął ją ciągły niepokój. Wciąż chciała wstawać. Powstrzymywano ją od tego o ile się dało, z obawy aby sobie nie zdała sprawy ze swego porażenia. Pewnego dnia, kiedy ją zostawiono na chwilę samą, zastałem ją stojącą w koszuli, próbowała otworzyć okno.

Pewnego dnia, w Balbec, kiedy uratowano, wbrew jej woli, wdowę która się rzuciła w wodę, babka powiedziała mi (może wiedziona owym przecuciem, które zdarza się nam czasami wyczytać w tajemniczych mrokach naszego organicznego życia, tak ciemnych ale może odbijających przyszłość), że nie zna większego okrucieństwa niż wydzierać zrozpaczoną istotę upragnionej śmierci i narzucać jej dalsze męczeństwo.

Ledwo mieliśmy czas pochwycić babkę; bronila się matce prawie brutalnie, poczem, zwyciężona, przemocą posadzona w fotelu, przestała chcieć, żałować, twarz jej stała się niewzruszona. Zaczęła starannie usuwać z nocnej koszuli włosy futra, które jej narzucono.

Spojrzenie jej zmieniło się całkowicie. Często niespokojne, żalosne, błędne, nie było to już jej dawne spojrzenie; to było chmurne spojrzenie starej gładzącej kobiety.

Franciszka pytała się tyle razy babki, czy nie chce aby ją uczesać, iż w końcu wyobraziła sobie, że to babka prosiła ją o to. Przyniosła szczotki, grzebienie, wodę kolońską, peniuar. Mówiła: „To nie może zmęczyć starszej pani, że ją uczeszę; choćby człowiek był i słaby, zawszeć może być uczesany”. To znaczy, że nigdy człowiek nie jest na tyle słaby, aby inna osoba nie mogła go uczesać. Ale kiedy wszedłem do pokoju, ujrzałem w okrutnych rękach Franciszki, uszczęśliwionej tak jakby właśnie przywracała babce zdrowie, pod żalosną nędzą starych włosów nie mających siły znieść dotknięcia grzebienia, głowę, która, niezdolna zachować narzuconej pozycji, osuwała się w nieustającym zamięcie naprzemian wyczerpania i bólu. Czułem, że chwila gdy Franciszka skończy czesanie, zbliża się; nie śmiałem przyspieszyć tej chwili słowem „dosyć”, z obawy że mnie nie usłucha. Rzuciłem się natomiast ku niej, kiedy, chcąc aby babka sprawdziła czy jest dobrze uczesana, Franciszka w swoim niewinnym okrucieństwie podsunęła jej lusterko. Szczęśliwie zdołałem wydrzeć jej z rąk lustro, zanim babka, przed którą starannie ukryliśmy wszystkie zwierciadła, ujrzałaby przez tę nieopatrzność własny swój obraz, jakiego nie mogła się domyślać. Ale, niestety, kiedy w chwilę potem pochyliłem się aby ucałować to piękno czoła, które tak umęczono, popatrzyła na mnie ze zdziwioną, nieufną, zgorzsną miną; nie poznała mnie.

Wedle naszego lekarza, był to znak, że przekrwienie mózgu wzmagają się. Trzeba było odciągnąć krew.

Cottard wahał się. Franciszka miała przez chwilę nadzieję, że się postawi bańki „rżnięte”. Szukała w mojej encyklopedji ich działania, ale nie mogła znaleźć. Gdyby zamiast „cięte” były „rżnięte”, i tak nie byłaby znalazła; mówiła „rżnięte”, ale pisała (a tem samem myślała że się tak pisze) „żnięte”.

Cottard – ku wielkiemu rozczarowaniu Franciszki – wybrał, bez wielkiej nadziei, pijawki. Kiedy, w kilka godzin później, wszedłem do babki, czarne wężyki przyczepione do karku, do skroni, do uszu, wiły się w jej zakrwawionych włosach niby we włosach Meduzy. Ale na bladej i spokojnej twarzy, całkowicie nieruchomej, ujrzałem szeroko otwarte, promienne i spokojne, jej piękne dawne oczy (może jeszcze bardziej nasycone inteligencją niż przed chorobą, ponieważ, nie mogąc już mówić a utrzymywana w bezruchu, oczom jedynie powierzała swoją myśl; myśl, która to zajmuje w nas olbrzymie miejsce, ofiarowując nam niepodejrzewane skarby, to zdaje się obrócona w nicość, poczem może się odrodzić jakby przez samoródtwo, dzięki kilku kroplom krwi, które się odciągnie), oczy jej, łagodne i płynne jak oliwa, w których rozlany i płonący ogień oświecał chorej odzyskany wszechświat. Spokój jej nie był już mądrością rozpaczyci lecz nadziei. Rozumiała, że się ma lepiej, chciała być rozsądna, nie ruszać się; obdarzyła mnie jedynie pięknym uśmiechem, iżbym wiedział że się ma lepiej, i uściśniła mi lekko rękę.

Wiedziałem, jaki wstręt ma babka do widoku pewnych zwierząt, a tem bardziej do ich dotknięcia. Wiedziałem, że jedynie przez rozsądek znosi pijawki. Toteż Franciszka doprowadziła mnie do rozpaczyci, powtarzając babce z owemi chichotami, jakie się miewa z dzieckiem, gdy się je chce rozbawić: „O, jak te robaki biegają po pani”. To znaczyło w dodatku traktować naszą chorą bez szacunku, tak jakby już była dziecinniała. Ale babka, której twarz oblekła się w spokojny i stoicki hart, nie okazywała nawet że słyszy.

Niestety, ledwie odjęto pijawki, kongestia wróciła, i to coraz silniejsza. Zdziwiło mnie, że w tej chwili, kiedy z babką było tak źle, Franciszka znika co chwila. To dlatego, że sobie zamówiła żalobę i nie chciała dać szwaczce czekać. W życiu większości kobiet, wszystko, nawet największa zgryzota, kończy się kwestją „przymierzania”.

W kilka dni później, kiedy spałem, matka zbudziła mnie w nocy. Z tą słodką oględnością, jaką w doniosłych okolicznościach ludzie przygniecenii głęboką boleścią znajdują nawet dla drobnych przykrości drugich, rzekła:

- Przepraszam, że cię budzę.
- Nie spałem, odparłem budząc się.

Mówiłem szczerze. Wielką zmianą, jaką nam przynosi przebudzenie, jest nietyle to, że nas wprowadza w jasne życie świadomości, ile że w nas zatracają pamięć przyćmionego nieco światła, w którym spoczywała nasza inteligencja, niby w opalowej głębi wód. Nawpół zamglone myśli, po których żeglowaliśmy jeszcze przed chwilą, wzniecały w nas ruch zupełnie wystarczający na to abyśmy je mogli określić mianem jawy. Ale przebudzenie spotyka się wówczas z interferencją pamięci. Wkrótce potem, nazywamy owe myśli snem, bo ich już sobie nie przypominamy. I kiedy błyszczy ta lśniąca gwiazda, która w chwili przebudzenia oświeca poza śpiącym całym jego sen, każe nam ona wierzyć przez kilka sekund, że to nie był sen lecz jawa; gwiazda – spadająca coprawda – która wraz ze swoim światłem unosi kłamliwe istnienie, ale także perspektywy snu, i człowiekowi, który się budzi, pozwala jedynie powiedzieć: „Spałem”.

Głosem tak łagodnym, iż zdawało się że boi się sprawić mi ból, matka spytała, czyby mnie nie zmęczyło zanadto gdybym wstał. Pieszcząc mi rękę, rzekła:

- Biedne maleństwo, już tylko na tatusia i na mamusię będziesz mógł liczyć.

Weszliśmy do pokoju. Zwinięta w kłębek na łóżku, inna istota niż moja babka, niby jakieś zwierzę któreby się przystroiło w jej włosy i ułożyło w jej łóżku, dyszało, jęczało, wstrząsało konwulsjami kołdrę. Powieki były zamknięte; ale raczej dlatego że się nie domykały niż że się

otwierały, ukazywały kącik źrenicy, zamglony, zaropiał, odbijający mrok organicznej wizji i wewnętrznego bólu. Wszystek ten ruch nie zwracał się już do nas; nie widziała nas już, nie znała. Ale jeżeli to już tylko jakieś zwierzę ruszało się tam, gdzie była ona, babka? Poznawało się przecież kształt jej nosa, nie szarmonizowany teraz z resztą twarzy, ale mający w rogu ten sam pieprzyk; poznawało się jej rękę, odsuwającą kołdrę gestem, który znaczyłby niegdyś że jej ta kołdra zawadza, a teraz nie znaczył nic.

Mama prosiła mnie o przyniesienie trochy wody z octem, aby zwilżyć czoło babki. Była to jedyna rzecz która ją chłodziła, tak przynajmniej myślała mama, widząc jak babka próbuje rozgarnąć włosy. Ale dano mi przez drzwi znak abym wyszedł do sieni. Wiadomość że babka kona, rozeszła się natychmiast po domu. „Dochodzący” lokaj – sprowadza się ich w wyjątkowych okolicznościach aby odciążyć służbę, co sprawia, że agonje mają coś odświętnego – otworzył drzwi księciu de Guermantes, który, zatrzymawszy się w przedpokoju, pytał o mnie: nie mogłem mu się wymknąć.

– Przychodzę, drogi panie, zasięgnąć żałobnych nowin. Chciałbym, na znak sympatii, uścisnąć dłoń pańskiego ojca.

Przeprosiłem, że trudno jest odwołać ojca w tej chwili. Pan de Guermantes wpadł niby w momencie gdy się wyjeżdża w podróż. Ale tak bardzo świadomy był grzeczności jaką nam wyświadczał, że to poczucie przesłaniało mu wszystko inne; koniecznie chciał wejść do salonu. Wogóle, księżę miał zwyczaj upierać się przy całkowitem dopełnieniu formalności, jakimi zamierzył uczcić kogoś, i mało się troszczył o to, że kufry są spakowane lub trumna gotowa.

– Czyście państwo wezwali profesora Dieulafoy? A! to wielki błąd. I gdybyście się państwo zwrócili do mnie, **dla mnie** byłby przyszedł, nie odmawia mi niczego, mimo że odmówił księżnej de Chartres. Widzi pan, otwarcie stawiam się przed księżniczką krwi. Zresztą, wobec śmierci wszyscy jesteśmy równi, dodał księżę, nie aby mnie przekonać że moja babka staje mu się równa, ale uczuwszy może, że przeciągać rozmowę na temat swoich forów u profesora Dieulafoy oraz przewag nad księżną de Chartres, nie byłoby może w najlepszym guście.

Rada księcia zresztą nie zdziwiła mnie. Wiedziałem że u Guermantów zawsze cytowano nazwisko profesora Dieulafoy jak nazwisko jakiejś bezkonkurencyjnej firmy, jedynie może z większym nieco szacunkiem. I stara księżna de Mortemart z domu Guermantes (trudno pojąć czemu, o ile chodzi o księżnę, zawsze prawie mówi się: „stara księżna de...” lub przeciwnie, o ile jest młoda, mówi się z filuterną miną w stylu Watteau: „młoda księżna de...”) zalecała, niemal mechanicznie, mrugając, w poważnych wypadkach: „Dieulafoy, Dieulafoy”, tak jak, kiedy chodziło o lody, mówiła: „Poire Blanche”, albo o ptifury: „Rebattet, Rebattet”. Ale nie wiedziałem, że ojciec właśnie kazał wezwać profesora Dieulafoy.

W tej chwili, matka, oczekująca niecierpliwie balonów z tlenem, które miały ułatwić babce oddechanie, weszła sama do przedpokoju, gdzie nie spodziewała się zastać księcia de Guermantes. Byłbym go pragnął schować nie wiem gdzie. Ale, przeświadczony że nic nie może być ważniejsze ani nie może matce bardziej pochlebić, jak również że nic nie jest nieodzowniejsze do podtrzymania własnej reputacji skończonego gentlemana, księżę ujął mnie gwałtownie za ramię i mimo że się bronił niby przed gwałtem, powtarzając: „Proszę pana, proszę pana”, pociągnął mnie ku mamie i rzekł: „Zechce mi pan uczynić ten wielki zaszczyt i przedstawić mnie swojej szanownej **matce!**” detonując lekko przy słowie **matka**. I tak dalece księżę miał poczucie iż to jest zaszczyt dla niej, że nie mógł się powstrzymać aby się nie uśmiechnąć, mimo kondolencyjnego wyrazu twarzy. Trzeba mi było wymienić nazwisko księcia, co rozpętało natychmiast z jego strony przegięcia i szastania, mające poprzedzić pełny ceremonjał ukłonu. Księżę zamierzał nawet wszcząć rozmowę, ale matka, pogrążona w boleści, szepnęła mi żebym szedł prędko i nie odpowiedziała nawet na frazesy pana de Guermantes. Księżę, który się spodziewał że go poproszą do salonu i zamiast tego został sam w przedpokoju, byłby się wreszcie zabrał, gdyby nie ujrzał wchodzącego Saint-Loup, który przyjechał tego rana i przybiegł po nowiny. „A to awantura!” – wykrzyknął radośnie księżę, chwytając siostrzeńca za rękaw, którego mu omal nie wyrwał i nie troszcząc się o obecność matki wracającej

przez przedpokój. Saint-Loup, mimo swego szczerego zmartwienia, dość był, jak sędzę, rad, że uniknie spotkania się ze mną, zważywszy jego obecne usposobienie dla mnie. Wyszedł, pociągnięty przez wuja, który, mając mu coś bardzo ważnego do powiedzenia i omal nie wybrałszy się w tym celu do Doncières, nie posiadał się z radości, że sobie może oszczędzić takiego kłopotu.

– A! gdyby mi ktoś powiedział, że wystarczy mi przejść przez dziedziniec i że cię spotkam tutaj, wziąłbym to za grubą błagę; dobry kawał, jakby powiedział twój kolega Bloch.

I oddalając się z Robertem, którego trzymał za ramię, powtarzał:

– Ha, ha, zaraz widać, że dotknąłem sznura wisielca, lub czegoś w tym rodzaju: mam złodziejskie szczęście.

To nie znaczy, aby księżę de Guermantes był źle wychowany; wprost przeciwnie. Ale był z rzędu owych ludzi niezdolnych się postawić w położeniu innych, ludzi podobnych w tem do większości lekarzy i karawaniarzy, którzy, na chwilę obłókłszy żałobny wyraz twarzy i wyrzekłszy: „to są bardzo ciężkie chwile”, uściskawszy was ewentualnie i doradziwszy wam odpoczynek, w agonji lub w pogrzebie widzą już tylko mniej lub więcej zamknięte zebranie towarzyskie, gdzie, z powściąganą na chwilę jowialnością, szukają oczami osoby, której mogą opowiadać o swoich drobnych sprawach, prosić jej o przedstawienie ich komuś lub ofiarować jej miejsce w powozie aby ją „wyrzucić w drodze”. Księżę de Guermantes, winszując sobie „nosa”, który go zaniósł tam gdzie miał szansę spotkać siostrzeńca, zdumiony był zachowaniem się matki, całkiem przecież naturalnem. Opowiadał później, że matka jest w tym samym stopniu niemą, w jakim ojciec jest uprzejmy, że ma chwile nieprzytomności w których nie słyszy co się do niej mówi, słowem, jego zdaniem, jest osobą trochę „niespełna”, a nawet może wogóle jest pomyłona. Raczył wszelako, wedle tego co mi opowiadano, złożyć to poczęści na karb okoliczności i oświadczył iż matka wydała mu się bardzo „wzięta” tem wydarzeniem. Ale miał jeszcze w nogach cały zapas ukłonów i reweransów których nie pozwolono mu dopełnić, i tak dalece nie zdawał sobie sprawy z tego czem jest rozpacz mamy, że w wilję pogrzebu pytał się mnie, czym nie próbował jej rozerwać.

Szwagier babki, który był zakonikiem a którego nie znałem, zatelegrafował do Austrii, gdzie rezydował generał jego zakonu, i dzięki wyjątkowym względom uzyskał pozwolenie, przybył tego dnia. Pograżony w smutku, czytał przy łóżku modlitwy i medytacje, nie odrywając wszelako swoich świdrujących oczu od chorej. W pewnej chwili, kiedy babka była nieprzytomna, smutek tego księdza przejął mnie bólem; popatrzyłem nań. Wydawał się zdziwiony mojem współczuciem, i wówczas zdarzyło się coś osobliwego. Zakrył rękami twarz jak człowiek pograżony w bolesnej medytacji, ale ujrzałem iż, zgadując że ja odwrócę oczy, zostawił szparkę między palcami. I w tej chwili gdy moje spojrzenia opuszczały go, spostrzegłem jego bystre oko, korzystające z osłony rąk aby obserwować czy mój ból jest szczerzy. Zaczaił się tam niby w cieniu konfesjonatu. Ksiądz spostrzegł, że ja to widzę, i natychmiast hermetycznie zamknął uchylone okienko. Spotykałem go później i nigdy nie było między nami mowy o tej minucie. Stała się cicha umowa, że ja nie zauważyłem jego spojrzenia. W księdzu jak w psychiatrze, jest zawsze coś z sędziego śledczego. Zresztą, gdzież jest przyjaciel, choćby najdroższy, w którego przeszłości – wspólnej z naszą przeszłością – nie byłoby jakiejś minuty, co do której wolimy wierzyć, że on musiał o niej zapomnieć.

Lekarz zrobił zastrzyk morfiny; aby ulżyć oddechaniu, kazał podać balony z tlenem. Matka, doktor, siostra, trzymali je w rękach; skoro jeden się skończył, podawano drugi. Wyszedłem na chwilę z pokoju. Kiedym wrócił, znalazłem się jakby w obliczu cudu. Przy zgłuszonym akompanjamencie nieustannego szeptu, babka zdawała się zwracać do nas długi, szczęśliwy śpiew, który – szybki i muzykalny – wypełniał pokój. Zrozumiałem natychmiast, że jest bezmała równie nieświadomy, równie mechaniczny, jak rżenie przed chwilą. Może odbijał w słabej mierze ulgę sprawioną przez morfinę. Wynikał zwłaszcza – ile że powietrze w inny sposób przechodziło przez oskrzela – że zmiany rejestru oddechania. Oswobodzony podwójnem działaniem morfiny i tlenu, oddech babki nie męczył się już, nie jęczał, ale żywy i lekki przechodził w jakąś lubą płynność. Może z oddechem niewyczuwalnym niby oddech wiatru w trzcinie – mieszało się w tym śpiewie parę bardziej ludzkich

westchnień, które, wyzwolone bliskością śmierci, każą wierzyć w cierpienie lub szczęście tych, co już nie czują. Westchnienia te, mimo iż nie zmieniają rytmu, dały melodyjniejszy akcent owej długiej frazie, która wznosiła się, szła jeszcze wyżej, potem opadała, aby się na nowo wydrzeć z oswobodzonej piersi w pogoń za tlenem. Następnie, wzbiwszy się tak wysoko, przedłużony z taką siłą, śpiew – zmieszany z szeptem błagalnej rozkoszy – ustawał chwilami całkiem, niby wyschłe źródło.

Kiedy Franciszka miała wielkie zmartwienie, odczuwała daremną potrzebę wyrażania go, ale nie posiadała tej tak prostej sztuki. Uważając babkę za zupełnie straconą, chciała nam zakomunikować własne wrażenia. Ale potrafiła jedynie powtarzać: „Aż się przewraca w człowieku”, tym samym tonem, jakim powtarzała, zjadłszy za wiele kapuśniaku: „Gniecie me w dołku”; co w obu przypadkach było naturalniejsze niż się jej zdawało. Zmartwienie jej, mimo iż tak słabo wyrażone, było wielkie, zwiększone jeszcze żalem, że córka jej, zmuszona zostać w Combray (które młoda paryżanka nazywała obecnie „kombraniem” i rymowała z „draniem”), nie będzie zapewne mogła wrócić na żałobną uroczystość którą Franciszka przeczuwała jako coś wspaniałego. Wiedząc że nie jesteśmy skłonni do wylewów, z góry zaprosiła na wszelki wypadek Jupiena na wszystkie wieczory przez cały tydzień. Wiedziała, że nie będzie wolny w godzinie pogrzebu. Chciała bodaj za powrotem opowiedzieć mu wszystko.

Od kilku nocy, ojciec, dziadek oraz jeden z naszych krewniaków czuwali, nie wychodząc już z domu. Ich nieustanne poświęcenie przybrało w końcu maskę obojętności, a przewlekająca się dokoła tej agonii beczynność podsuwała im typ rozmów, które są nieodłączne od przydługiej jazdy w wagonie kolejowym. Zresztą, kuzyn ów (bratanek mojej ciotecznej babki) budził we mnie tyleż antypatii, ile posiadał u innych zasłużonego szacunku.

„Znajdowało się” go zawsze w ciężkich okolicznościach, a był taki wytrwały przy umierających, że stroskane rodziny, utrzymując iż, mimo swego krzepkiego wyglądu, głębokiego basu i brody, jest człowiekiem delikatnego zdrowia, zaklinały go zawsze, zapomocą uświęconych zwyczajem omówień, aby nie przychodził na pogrzeb. Wiedziałem z góry, że mama, która w bezmiarze swojego bólu, myślała o drugich, powie mu w innej formie to, co miał zwyczaj słyszeć zawsze:

– Przyrzeknij mi, że nie przyjdiesz **jutro**. Zrób to dla **niej**. Przynajmniej nie chodź aż **tam**. Ona cię prosiła, żebyś nie szedł.

Nic nie pomagało; był zawsze pierwszy „w domu” wskutek czego dano mu w innym środowisku przydomek, któregośmy nie znali: „Zamiast kwiatów na trumnę”. I zanim się stawił „wszędzie”, zawsze „pomyślał o wszystkim”, co mu zyskiwało te słowa: „Tobie się nie dziękuję”.

– Co takiego? spytał donośnym głosem dziadek, który był już nieco głuchy i który nie dosłyszał czegoś co kuzyn powiedział ojcu.

– Nic, odparł kuzyn. Mówiłem tylko, że dostałem dziś rano list z Combray, gdzie jest straszliwy czas, a tutaj zanadto przypieka.

– A przecie barometr stoi bardzo nisko, rzekł ojciec.

– Gdzie powiadasz jest brzydko? spytał dziadek.

– W Combray.

– A, to mnie nie dziwi; za każdym razem, kiedy jest brzydko tutaj, jest ładnie w Combray, i naodwrot. Ale prawda: mówicie o Combray; czy pomyślał kto o tem, aby uprzedzić Legrandina?

– Tak, nie kłopotcz się, już zrobione, rzekł kuzyn, którego policzki ocienione zbyt silnym zarostem, uśmiechnęły się nieznacznie z zadowolenia że o tem pomyślał.

W tej chwili ojciec zerwał się; myślałem że zaszło coś pomyślnego lub złowrogiego. To tylko doktor Dieulafoy przybył. Ojciec wyszedł, aby go przyjąć w sąsiednim pokoju, niby aktora który zjawił się na występ. Doktor Dieulafoy był niewątpliwie wielkim lekarzem, genialnym profesorem; ale do tych rozmaitych ról w których celował, łączył inną, w której był przez czterdzieści lat bez rywala, rolę równie oryginalną, jak „rezoner”, komik lub „szlachetny ojciec”, polegającą na konstatowaniu agonii lub śmierci. Nazwisko jego dawało rękojmię godności, z jaką się wywiąże z roli; kiedy służąca mówiła: „profesor Dieulafoy”, miało się wrażenie, że się jest w Komedji Francuskiej. Z

godną postawą łączyła się dyskretnie smukłość ślicznej figury. Twarz, sama w sobie zbyt piękna, przygaszona była konwenansem bolesnych okoliczności. W szlachetnym czarnym tużurku, profesor wchodził, smutny bez przesady, nie składał żadnych kondolencyj, które mogłyby się wydać komedią, nie dopuszczał się najmniejszego wykroczenia przeciw taktowi. Przy łożu chorego, to on, a nie książe de Guermantes był wielkim panem. Obejrzawszy babkę nie męcząc jej, z dyskrecją która była kurtuazją dla ordynującego lekarza, szepnął cicho kilka słów ojcu, skłonił się z szacunkiem przed matką. Czuję, że ojciec wstrzymuje się, aby nie rzec: „Profesor Dieulafoy”. Ale już profesor odwrócił głowę nie chcąc kępować sobą i wyszedł najwytworniej w świecie, biorąc z prostotą kopertę którą mu wręczono. Robił wrażenie że jej nie widzi, i my sami pytaliśmy siebie przez chwilę czyśmy mu ją wręczyli, z taką zwinnością prestidigitatora schował ją, nie tracąc przez to – raczej przeciwnie – nic z powagi znakomitego konsyliarjusza w długim tużurku z jedwabnymi klapami, z piękną głową pełną szlachetnego współczucia. Jego spokój i żywość wskazywały, że, mimo iż czeka go jeszcze sto wizyt, nie chce robić wrażenia pośpiechu. Bo to był wcielony takt, inteligencja, dobroć. Ten znakomity człowiek już nie żyje. Inni lekarze czy profesorowie mogli mu dorównać, może prześcignąć go. Ale „emploi”, w którym jego wiedza, jego osobiste warunki, jego wyborne wychowanie zapewniały mu stały sukces, nie istnieje już, z braku następcy któryby mu umiał sprostać.

Mama nie spostrzegła nawet profesora Dieulafoy; wszystko co nie było jej matką, nie istniało dla niej. Przypominam sobie (uprzedzam tutaj wypadki), że na cmentarzu, gdzie, niby nadprzyrodzona zjawą, zbliżyła się nieśmiało do grobu i zdawała się patrzeć na odlatującą istotę, już będącą daleko od niej, ojciec powiedział jej: „Stary Norpois był w domu, w kościele, na cmentarzu, opuścił bardzo ważną dla siebie komisję, powinnabyś mu coś powiedzieć, toby go bardzo wzruszyło”. Ale, kiedy ambasador skłonił przed nią głowę, matka zdołała jedynie pochylić ze słodyczą twarz bez śladu łez. Dwa dni przedtem – znów uprzedzam wypadki, nim wrócę do łoża chorej w momencie konania – podczas gdy czuwano nad babką, już zmarłą, Franciszka, która, nie zaprzeczając bezwzględnie istnieniu duchów, ploszyła się za najmniejszym szelestem, rzekła: „Zdaje mi się, że to starsza pani”. Ale, zamiast przestachu, słowa te obudziły w mamie uczucie bezmiernej słodyczy: takby pragnęła żeby umarli wracali, aby mieć czasem matkę obok siebie!

Ale wróćmy do agonji. „Czy wiesz, co nam jej siostry zatelegrafowały?” spytał dziadek kuzyna.

– Tak, Beethoven, mówiono mi; to warto oprawić w ramki. Nie dziwi mnie to zresztą.

– Biedna żona, która je tak kochała, rzekł dziadek ocierając łzę. Nie trzeba im tego mieć za złe. To skończone warjatki, zawszem to mówił. Co się tam dzieje, nie dają już tlenu?

Matka rzekła:

– To mamie znów będzie trudno oddychać.

Lekarz odparł:

– Och, nie, działanie tlenu potrwa jeszcze dobrą chwilę; zaraz zaczniemy znowu.

Miałem wrażenie, że nie powiedziałoby się tak o umierającej; że skoro to działanie ma trwać, to znaczy iż można utrzymać ją przy życiu. Świst tlenu ustał na parę chwil. Ale szczęśliwa skarga oddechu wzbijała się wciąż, lekka, zawila, niedokończona, nieustanna, powrotna. Chwilami, zdawało się, że wszystko skończone; oddech wstrzymał się, czy to przez te same zmiany oktaw jakie zachodzą w oddechu śpiącego, czy przez naturalne wahanie, pod wpływem znieczulenia, wzmożonej duszności, niedomogi serca. Lekarz ujął puls babki, ale już – jakgdyby jakiś doptyw zasilił wysychający strumień – nowy śpiew złął się z przerwaną frazą. I ta rozpoczynała się w innej tonacji, z tą samą niewyczerpaną energją. Kto wie, czy bodaj bez świadomości babki – owe szczęsne i tkliwe stany, zduszone cierpieniem, nie wydzielały się z niej teraz niby lekki gaz, długo zdławiony w zamknięciu. Można by rzec, że wszystko co ona ma nam do powiedzenia, dobywa się z niej, że to do nas się zwraca z tą wymową, z tą żarliwością, z tem wylaniem.

U stóp łożka, skręcana konwulsyjnie każdym podmuchem tej agonji, nie płacząc ale chwilami zalana łzami, matka miała bezduszną rozpacz liści smaganych deszczem i miotanych wiatrem. Kazano mi otrzeć oczy, zanim się zbliżę aby uścisnąć babkę.

- Ależ ja myślałem, że ona już nie widzi, rzekł ojciec.
- Nie można nigdy wiedzieć, odparł lekarz.

Kiedy moje wargi dotknęły jej, ręce babki poruszyły się; przebiegł ją całą długi dreszcz, czy to odruchowy, czy że pewne przywiązania mają swoje przeczulenie, poznające poprzez zasłone nieświadomości to, do czego kochania prawie nie trzeba im zmysłów. Naraz babka podniosła się nieco, uczyniła gwałtowny ruch, jak ktoś kto broni własnego życia. Franciszka nie mogła znieść tego widoku, wybuchnęła płaczem. Przypominając sobie to co powiedział lekarz, chciałem ją usunąć z pokoju. W tej chwili babka otworzyła oczy. Rzuciłem się ku Franciszce, aby zasłonić jej łzy, podczas gdy rodzice będą mówili do chorej. Świst tlenu zamilkł, lekarz odszedł od łóżka. Babka nie żyła.

W kilka godzin później, Franciszka mogła ostatni raz i bez obawy bólu uczesać te piękne włosy, które ledwie zaczynały siwieć i które dotąd zdawały się młodsze od babki. Ale teraz, przeciwnie, one jedne nakładały wieniec starości twarzy, która znów stała się młoda, z której znikły zmarszczki, skurcze, nalania, fałdy, mnożone od tyłu lat przez cierpienie. I tak jak niegdyś, dawno, wówczas gdy rodzice wybrali jej męża, znów miała rysy delikatnie wyrzeźbione czystością i poddaniem, policzki lśniące zbożną nadzieją, marzeniem o szczęściu, nawet niewinną wesołością, wszystkim co stopniowo zniweczyły lata. Odchodząc, życie uniosło z sobą zawody życia. Zdawało się, że uśmiech zstąpił na wargi babki. Na tem żałobnem łożu, śmierć, niby średniowieczny rzeźbiarz, ułożyła ją w postaci młodej dziewczyny.

## Rozdział drugi

Wizyta Albertyny. Widoki bogatego małżeństwa paru przyjaciół Roberta de Saint-Loup. „Duch Guermantów” wobec księżnej Parmy. Dziwna wizyta u pana de Charlus. Coraz to mniej rozumiem jego charakter. Czerwone pantofelki księżnej.

Mimo iż była to poprostu jesienna niedziela, czułem się odrodzony, życie rozciągało się przedemną nietknięte, bo rano, po szeregu ciepłych dni, panowała zimna mgła, która podniosła się aż koło południa. Otóż, odmiana pogody wystarcza aby odrodzić świat i nas samych. Niegdyś, kiedy wiatr świstał w kominku, słuchałem uderzeń, które wstrząsały zasuwą, z takim wzruszeniem, jak gdyby, podobne słynnym pociągnięciom smyczka, którymi się zaczyna Symfonia *c mol*, były one nieubłaganym wołaniem tajemniczego losu. Wszelka widoczna zmiana w przyrodzie staje się dla nas podobnym przeobrażeniem, zestrzajając nasze szarmonizowane pragnienia z nowym porządkiem rzeczy. Od samego rana, mgła robiła ze mnie w tym odmiennym świecie – w miejsce odśrodkowej istoty, jaką jesteśmy w piękny czas – człowieka zwiniętego w sobie, łaknącego kącika przy ogniu i podzielonego z kimś łóżka, zmarzniętego Adama w poszukiwaniu jakiejś domatorki Ewy.

Między szarym i łagodnym kolorem rannych pól a smakiem filiżanki czekolady zawarłem całą odrębność fizycznego, intelektualnego i duchowego życia, jaką zawiozłem blisko rok przedtem do Doncières. Odrębność ta, naznaczona – niby herbem podłużnym kształtem łysego pagórka – wciąż obecnego, nawet kiedy był niewidzialny – tworzyła we mnie serję uciech całkowicie różną od wszystkich innych, nie możliwych do opowiedzenia przyjaciołom, w tym sensie że bogato tkane i splatające się wrażenia które je instrumentowały, wyrażały je dla mnie i bez mojej wiedzy o wiele lepiej niż fakty, którebym mógł opowiedzieć. Z tego punktu widzenia, nowy świat, w którym mnie pograżyła mgła tego ranka, był światem już mi znanym (co mu jedynie przydawało prawdy) i zapomnianym od jakiegoś czasu (co mu wracało całą jego świeżość). I mogłem się przyglądać kilku szkicom mgły, które pamięć moja nabyła – „Porankom w Doncières” – czy to pierwszego dnia w koszarach, czy innym razem w sąsiednim zamku, dokąd Saint-Loup zabrał mnie z sobą na dwadzieścia cztery godzin. Z okna, którego firanki uchyliłem o świcie zanim się położyłem znowu, w pierwszym szkicu żołnierz na koniu, w drugim (na wąskiej granicy stawu i lasu, których cała reszta tonęła w jednostajnej i płynnej słodczy mgły) stangret czyszczący rzemienie, zjawili mi się jako nieliczne postacie ludzkie – ledwie rozpoznawalne dla oka, zmuszonego dostroić się do tajemniczej mglistości półmroku – wyłaniające się z zatartego fresku.

Patrzałem dziś na te wspomnienia z łóżka, bo położyłem się z powrotem, aby doczekać chwili, kiedy, korzystając z nieobecności rodziców bawiących przez kilka dni w Combray, wybiorę się wieczorem na komediijkę graną u pani de Villeparisis. Po powrocie rodziców nie śmiałbym może tego uczynić. Matka, przez pietyzm dla pamięci babki, pragnęła, aby oznaki żalu po niej były dobrowolne i szczere; nie zabroniłaby mi też tej wizyty, ale zganiłaby ją. Przeciwnie z Combray, gdybym się jej poradził, nie odpowiedziałyby mi smutnem: „Rób jak chcesz, jesteś dosyć duży, aby wiedzieć coś powinien robić”, ale, wyrzucając sobie, że mnie zostawiła samego w Paryżu i sądząc moją zgryzotę miarą swojej, pragnęłaby dla mnie rozrywek, których wzbronilaby sobie samej, a które (tak mama myślała) babka, dbająca przedewszystkiem o moje zdrowie i o moją nerwową równowagę, byłaby mi doradziła.

Od rana zapalono w nowym kaloryferze. Jego nieprzyjemny dźwięk, przechodzący od czasu do czasu w rodzaj czkawkki, nie miał żadnego związku ze wspomnieniami moimi z Doncières. Ale jego przydługa styczość we mnie z temi wspomnieniami owego popołudnia miała mu stworzyć takie z niemi powinowactwo, że za każdym razem kiedy, odzwyczajony trochę od tego dźwięku, usłyszałbym na nowo centralne ogrzewanie, przypomniałoby mi ono Doncières.

Była w domu tylko Franciszka. Szary dzień padający niby drobny deszcz, snuł bez przerwy przeźrocyste siatki, w których niedzielnii przechodnie jakgdyby się srebrzyli. Rzuciłem na ziemię „Figaro”, kazałem je codzień sumiennie kupować od czasu jak tam posłałem artykuł, który się nie ukazał. Mimo nieobecności słońca, nasilenie dnia wskazywało mi, że jesteśmy dopiero w pełni popołudnia. Tiulowe firanki przy oknach, mgliste i kruche (nie byłyby takie w pogodę), miały to samo połączenie czegoś miękkiego i łamliwego, co skrzydła ważek i szkła weneckie.

Ciężyło mi być samemu w tę niedzielę, tem bardziej że tego rana kazałem zanieść list do panny de Stermaria. Saint-Loup, którego matka doprowadziła – po bolesnych i daremnych próbach – do zerwania z kochanką i którego od tego czasu posłano do Maroko aby zapomniał o tej, której już nie kochał, napisał do mnie słówko (odebrałem je w wilję), gdzie mi oznajmiał swoje przybycie do Francji na bardzo krótki urlop. Ponieważ miał tylko zawadzić o Paryż (rodzina bała się zapewne, aby nie wrócił do Racheli), uprzedzał mnie – na dowód że myślał o mnie – iż spotkał w Tangerze pannę, lub raczej panią de Stermaria, bo rozwiodła się po trzech miesiącach małżeństwa. I Saint-Loup, przypominając sobie to com mu mówił w Balbec, poprosił w moim imieniu tej młodej kobiety o spotkanie. Odrzekła, iż chętnie zjadłaby ze mną obiad, jednego z dni które spędzi w Paryżu, zanim się uda do Bretanii. Saint-Loup pisał, abym się czempredzej porozumiał z panią de Stermaria, bo z pewnością już przyjechała.

List Roberta nie zdziwił mnie, mimo że nie miałem wiadomości od niego od czasu gdy w chwili choroby babki obwinił mnie o przewrotność i zdradę. Zrozumiałem wybornie wówczas co zaszło. Rachelą, która lubiła podsycać jego zazdrość miała też uboczne żale do mnie – wmówiła w Roberta, że ja robiłem zamachy na nią w czasie jego nieobecności. Bardzo być może, że on wciąż w to wierzył; ale przestał kochać Rachelę, tak iż prawda lub fałsz w tym względzie stały mu się całkiem obojętne i jedynie przyjaźń nasza przetrwała. Kiedy raz, widząc go, próbowałem wspomnieć o jego wymówkach, odpowiedział jedynie pocziwym i serdecznym uśmiechem, jakgdyby chciał się nim usprawiedliwić; poczem odmienił rozmowę.

Nie znaczy to, aby nieco później, w Paryżu, nie miał jeszcze czasami spotykać Racheli. Istoty, które grały taką rolę w naszym życiu, rzadko wychodzą z niego nagle i ostatecznie. Zjawiają się w niem znowuż chwilami (tak iż niektórzy podejrzewają nawrót miłości), nim je opuszczą na zawsze.

Zerwanie Roberta z Rachelą stało mu się rychło mniej bolesne, dzięki kojącej przyjemności, jaką dawały mu jej nieustanne żądania pieniędzy. Zazdrość, będąca przedłużeniem miłości, nie może zawierać o wiele więcej niż inne formy naszej wyobraźni. Jeżeli, puszczając się w podróż, weźmiemy z sobą trzy lub cztery obrazy, które zgubimy zresztą w drodze (lilje i anemony z *Ponte Vecchio*, perski kościół we mgle etc. ), walizka jest już całkiem pełna. Kiedy się rzuca kochankę, chciałoby się – aż do chwili, gdy się o niej potrosze zapomni – aby się ona nie stała łupem trzech lub czterech nabywców, których sobie wyobrażamy, to znaczy o których jesteśmy zazdrośni: wszyscy których sobie nie wyobrażamy, są niczem. Zapewne, częste żądania pieniędzy ze strony porzuconej kochanki nie dają nam kompletnego pojęcia o jej życiu, tak jak wykresy gorączki nie dałyby nam pojęcia o jej chorobie. Ale jak te wykresy byłyby bądź co bądź znakiem że jest chora, tak owe żądania stanowią dowód (dość mglisty, coprawda), że ta, którąśmy rzucili lub która nas rzuciła, nie musiała znaleźć bogatego protektora. Toteż każdą jej prośbę przyjmujemy z radością, jaką nam daje pauza w cierpieniach zazdrości; skwapliwie posyłamy jej pieniądze, bo chcielibyśmy aby jej nie brakło niczego, prócz kochanków (jednego z owych trzech, których sobie wyobrażamy), przez czas potrzebny na to abyśmy przyszli nieco do siebie i abyśmy mogli bez bólu usłyszeć nazwisko naszego następcy.

Czasem Rachelą zjawiała się dość późno wieczorem, aby prosić dawnego kochanka o pozwolenie przespania się obok niego do rana. Było to bardzo słodkie dla Roberta, bo zdawał sobie sprawę, jak bardzo jednak oni blisko żyli z sobą. Czuł to bodaj w tem, że nawet gdy zajął sam większą część łóżka, nie przeszkadzał jej bynajmniej spać. Rozumiał, że jej jest obok jego ciała wygodniej niż gdziekolwiek indziej; że się czuje przy jego boku – nawet w hotelu – niby w znanym oddawna

pokoju, do którego się przywykło, gdzie nam się lepiej śpi. Czuł, że jego ramiona, nogi, on cały, to są dla niej – nawet kiedy się zanadto ruszał pod wpływem bezsenności lub natrętnych myśli – rzeczy tak doskonale podręczne, że nie mogą jej zawadzać i że ich poczucie zwiększa jej jeszcze wrażenie odpoczynku.

Ale trzeba się nam cofnąć wstecz. List Roberta wzruszył mnie tem bardziej, że między wierszami czytałem to, czego on nie śmiał napisać wyraźniej. „Możesz ją doskonale zaprosić do gabinetu, pisał. To urocza młoda osoba, przemiły charakter; porozumiecie się doskonale; z góry jestem pewien, że spędzisz wyborny wieczór”. Ponieważ rodzice wracali z końcem tygodnia, w sobotę lub w niedzielę, poczem musiałbym jadać codziennie w domu, natychmiast napisałem do pani de Stermaria, proponując jej dowolny dzień, do jej wyboru, aż do piątku. Kazała powiedzieć, że napisze do mnie jeszcze tego wieczora, koło ósmej. Byłbym doczekał wieczora dość szybko, gdybym miał, w ciągu dzielącego mnie od niego popołudnia, ratunek jakiejś wizyty. Kiedy godziny spowijają się gawędą, nie możemy ich już mierzyć, nawet widzieć; znikają, i nagle – bardzo daleko od punktu w którym się nam umknął – znów zjawia się naszej uwadze chyży i oszukany czas. Ale kiedy jesteśmy sami, napięcie myśli, przywołując nam odległą jeszcze i wciąż oczekiwaną chwilę z częstością i jednostajnością tykania zegara, dzieli lub raczej mnoży godziny przez wszystkie minuty, których nie liczylibyśmy w towarzystwie przyjaciół. I popołudnie to, w nieustannym nawrocie mojego pragnienia konfrontowane z pałacą rozkoszą jakiej miałem kosztować – niestety aż za kilka dni! – z panią de Stermaria; to popołudnie, którego miałem dokończyć sam, wydawało mi się bardzo puste i melancholijne.

Chwilami słyszałem łoskot jadącej w górę windy, ale po nim następował drugi odgłos, nie ten, którego się spodziewał, zwiastujący zatrzymanie się na moim piętrze, ale inny, bardzo odmienny, jaki sprawiała winda wznosząc się wyżej. Odgłos ten – ponieważ tak często oznaczał mijanie mojego piętra, kiedy oczekiwałem wizyty – został dla mnie później, nawet wówczas gdy już nie pragnął wogóle żadnej wizyty, hałasem w samej swojej istocie bolesnym, w którym rozlegał się jakby wyrok opuszczenia. Zmęczony, zrezygnowany, zajęty na kilka godzin jeszcze swoim odwiecznym zadaniem, szary dzień przadł swój perłowy haft; myślałem ze smutkiem, że zostanę sam na sam z tym dniem który mnie nie znał, tak samo jak robotnica, która, siedząc przy oknie aby lepiej widzieć przy swojej robocie, nie zajmuje się wcale osobą obecną w pokoju.

Naraz (nie słyszałem dzwonka), Franciszka otworzyła drzwi i wprowadziła – Albertynę. Weszła uśmiechnięta, milcząca, pulchna, zawierająca w obfitości swego ciała – przygotowane na to abym je przeżywał nadal, przybywające do mnie – dni spędzone w owym Balbec, dokąd nigdy nie wróciłem.

Bez wątpienia, za każdym razem kiedy oglądamy osobę, z którą stosunki – choćby najpowierzchniwsze – zmieniły się, staje się to dla nas niby konfrontacją dwóch epok. Nie potrzeba na to aby dawna kochanka zaszła nas odwiedzić jako przyjaciółka; wystarczy aby się zjawił w Paryżu ktoś, z kim dzieliliśmy jakieś przygodne i potoczne życie, i aby to życie ustało, choćby od tygodnia. W każdym roześmianym, pytającym i zakłopotanym rysie Albertyny mogłem wyczytać te pytania: „A pani de Villeparisis? A nauczyciel tańca? A cukiernik?” Kiedy usiadła, grzbiet jej robił wrażenie że mówi: „Cóż, niema tutaj skał i morza, ale pozwolisz abym usiadła koło ciebie tak jakbym to zrobiła w Balbec?” Albertyna była niby wróżka, podsuwająca mi zwierciadło czasu. Była w tem podobna do wszystkich osób które widzimy rzadko, ale które niegdyś żyły z nami bliżej. Ale z Albertyną było nietylko to. Zapewne, nawet w Balbec, w czasie naszych codziennych spotkań, zawsze byłem zaskoczony jej widokiem, tak zmieniała się zależnie od dnia. Ale teraz ledwie ją można było poznać. Rysy jej, wyłonione z różowego oparu który je spowijał, stały się wydatne nakształt posągu. Miała inną twarz, lub raczej wreszcie miała twarz; ciało jej urosło. Nie zostało już prawie nic z powłoki, która ją spowijała i na której powierzchni w Balbec przyszyły jej kształt zaledwie się rysował.

Tym razem Albertyna wróciła do Paryża wcześniej niż zazwyczaj. Zwykle wracała dopiero na wiosnę, tak iż niepokojony już od kilku tygodni burzami przy pierwszych kwiatach, w przyjemności

jakiej doznawałem, nie odznaczałem powrotu Albertyny od powrotu cieplejszych dni. Wystarczyło, by mi powiedziano, że Albertyna jest w Paryżu i że zaszła do mnie, abym ją ujrzał niby różę nad brzegiem morza. Nie bardzo wiem, czy to, co mnie ogarniało wówczas, było pragnieniem Balbec czy jej; może samo pragnienie Albertyny było luźną i niepełną formą posiadania Balbec, jakgdyby posiadać materialnie jakąś rzecz, zamieszkać w jakimś mieście, równało się jego duchowemu posiadaniu. Zresztą, nawet materialnie, kiedy Albertyny nie kołysała już moja wyobraźnia na tle widnokregu morza, ale kiedy siedziała nieruchomo koło mnie, wydawała mi się często bardzo biedną różą, przy której byłbym rad zamknąć oczy, aby nie widzieć jakiejś skazy jej płatków i aby wierzyć że oddycham powietrzem plaży.

Mogę to powiedzieć tutaj, mimo że nie wiedziałem wówczas tego co miało się zdarzyć później. Zapewne, rozsądniej jest poświęcić życie kobietom niż markom pocztowym, starym tabakierkom, nawet niż obrazom i posągom. Ale przykład innych kolekcji powinienby nas skłonić do tego aby zmieniać; aby mieć nie jedną kobietę, lecz wiele kobiet. Urocze kombinacje, jakie stwarza młoda dziewczyna z plażą, z zaplecionymi włosami posągu w kościele, z jakimś sztychem, ze wszystkim tem co sprawia że kochamy w tej dziewczynie – za każdym razem kiedy wchodzi – jakiś uroczy obraz, kombinacje te nie są zbyt stałe. Wystarczy żyć całkowicie z kobietą, aby przestać widzieć cokolwiek z tego co nam ją kazało pokochać. Te dwa rozszczerzone składniki może niewątpliwie zespolić na nowo zazdrość. Jeżeli po długim okresie wspólnego życia miałem widzieć w końcu w Albertynie jedynie zwykłą kobietę, jakaś jej miłostka ze znajomym jej z Balbec wystarczyłaby może, aby w nią znów wcielić i stopić z nią plażę i bryzg fal. Ale te wtórne połączenia nie czarują już naszych oczu; w zamian stają się wyczuwalne i złowrogie dla naszego serca. Odnowienie się cudu w tak niebezpiecznej formie nie może być pożądane!

Ale uprzedzam lata. I muszę jedynie tu żałować, że nie pozostał na tyle rozsądny, aby mieć poprostu w życiu swoją kolekcję kobiet, jak się ma kolekcję dawnych lorynetek, nigdy dość licznych za gąbłką, gdzie zawsze puste miejsce oczekuje jakiejś nowej i rzadszej lorynetki.

Na wspaniałym porządkowi swoich wilegiatur, tego roku Albertyna przybywała prosto z Balbec; a i tak bawiła tam o wiele krócej niż zwykle. Nie widziałem jej oddawna. Że zaś nie znałem – nawet z nazwiska – osób z którymi przestawała w Paryżu, nie wiedziałem nic o niej w okresach kiedy mnie nie odwiedzała. Okresy te bywały czasem dość długie. Potem, pewnego pięknego dnia, wyłaniała się nagle Albertyna, której różowe zjawienie się i milczące wizyty dość skąpo mnie informowały o tem co mogła robić w przerwach, pograżonych w owym mroku życia, którego oczy moje nie siły się przebić.

Tym razem, pewne oznaki zdawały się wskazywać, że musiały zajść w jej życiu jakieś nowe rzeczy. Ale może poprostu nastroczały one wniosek, że w wieku Albertyny człowiek zmienia się bardzo szybko. Naprzykład inteligencja jej objawiała się wyraźniej; skorom jej przypomniał dzień, gdy włożyła tyle zapachu w dowodzenie że Sofokles powinien był pisać: „Mój drogi Racine”, pierwsza roześmiała się serdecznie. „To Anna miała rację, byłam idiotką – rzekła; oczywiście Sofokles powinien był napisać: *Monsieur!*” Odpowiedziałem, że „panie” i „drogi panie” Anny były nie mniej komiczne niż jej „drogi Racine” i niż „drogi przyjacielu” Gizeli, ale że naprawdę niemądrzy byli w tem profesorowie, każący jeszcze Sofoklesowi pisywać listy do Racine'a. Tego już Albertyna nie chwyciła. Nie rozumiała absolutnie, co w tem jest głupiego; inteligencja jej rozchylała się, ale nie była rozwinięta. Były w niej nowości bardziej pociągające; czułem w tej samej ładnej dziewczynie, która oto usiadła koło mego łóżka, coś odmiennego; w owych linjach, które w spojrzeniu i rysach twarzy zwykły wyrażać wolę, czułem jakąś zmianę frontu, niemal ustępliwość, jakgdyby znikły już opory, o które łamałem się w Balbec, pewnego tak odległego już wieczora, kiedyśmy tworzyli parę symetryczną do dzisiejszej, ale odwrotną, gdyż wówczas Albertyna leżała w łóżku, a ja siedziałem przy niej. Pragnąc i nie śmiejąc sprawdzić czy teraz pozwoliłaby się pocałować, ilekroć Albertyna wstawała aby iść, prosiłem żeby została jeszcze. Nie było to zbyt łatwe do uzyskania, bo, mimo iż Albertyna nie miała nic do roboty (inaczej byłaby uciekła), była to osóbką punktualna i zresztą

niezbyt czuła dla mnie, niezbyt zdająca się smakować w moim towarzystwie. Mimo to, za każdym razem, spojrzawszy na zegarek, siadała na moją prośbę z powrotem, tak iż spędziła ze mną kilka godzin bez żadnych zakusów z mojej strony; słowa moje wiązały się z tem com mówił w ciągu poprzednich godzin i nie spotykały się nigdy z tem com myślał, czegom pragnął – niby równoległe linje idące w nieskończoność. Nic bardziej od pragnienia nie przeszkadza, aby rzeczy które mówimy były w czemkolwiek podobne do tego co mamy w myśli. Czas nagli, a mimo to zdawałoby się, że chcemy zyskać na czasie, mówiąc o przedmiotach zgoła obcych temu co nas zaprzęta. Ot, gawędzi się, podczas gdy zdaniu które chcielibyśmy wyrzec, towarzyszyłby już gest nawet przyjąwszy, że aby sobie stworzyć rozkosz bezpośredniości i aby nasycić ciekawość reakcji jaką to wywoła bez jednego słowa, bez proszenia o pozwolenie, nie uczyniliśmy tego gestu. Z pewnością nie kochałem wcale Albertyny; zrodzona z dzisiejszej mgły, mogła ona jedynie zaspokoić imaginacyjne pragnienie, zbudzone we mnie zmianą pogody, będące czemś przejściowem między pragnieniami jakie może zaspokoić z jednej strony sztuka kucharska a z drugiej monumentalna rzeźba, kazało mi bowiem marzyć równocześnie o złączeniu z mojem ciałem substancji odmiennej i ciepłej, i o spojeniu jakimś punktem odrębnego ciała z mojem wyciągniętem ciałem: tak ciało Ewy zaledwie nogami trzyma się biodra Adama, do którego ciała jest ona niemal prostopadła na owych romańskich płaskorzeźbach katedry w Balbec, szlachetnie i spokojnie, niemal jak antyczny fryz, przedstawiających stworzenie kobiety; Bogu towarzyszą tam wszędzie, niby dwaj ministrowie, dwa aniołki, w których poznajemy na całej fasadzie kruchty – niby skrzydlate i wirujące twory lata, zaskoczone i oszczędzone przez zimę amorki z Herkulanum, jeszcze żywe w pełni XIII wieku i lecące swoim ostatnim lotem, zmęczone ale nie zadające kłamu wdziękowi, jakiego się można po nich spodziewać.

Tej przyjemności, która, zaspokajając moją żądzę, uwolniłaby mnie od tego marzenia, szukałbym równie chętnie u jakiejś innej ładnej kobiety. I gdyby – w ciągu tej nieskończonej paplaniny, w której tałem przed Albertyną to jedno o czem myślałem – mnie zapytano, na czem się wspiera moja optymistyczna hipoteza jej możliwej ustępliwości, odpowiedziałbym może, że ta hipoteza zrodziła się (podczas gdy zapomniane rysy głosu Albertyny kreśliły mi na nowo kontur jej osobowości) z pojawienia się pewnych słów, nie należących do jej słownika, przynajmniej w sensie takim, jaki im dawała obecnie. Kiedy powiedziała że Elstir jest głupi, a ja zaprotestowałem żywo, odrzekła z uśmiechem:

– Nie rozumiesz mnie; ja chcę powiedzieć, że się okazał głupi w danej okoliczności, ale wiem doskonale, że to jest człowiek zupełnie niepospolity.

Tak samo, chcąc powiedzieć o golfie w Fontainebleau, że jest elegancki, oświadczyła:

– Pierwszorzędny dobór.

Mówiąc o jakimś dawniejszym pojedynku, powiedziała o moich świadkach: „To są sekundanci zupełnie *prima*”; przyglądając mi się, oświadczyła, że byłoby mi do twarzy z małym wąsikiem. Posunęła się nawet – i moje szanse wydały mi się w tej chwili ogromne – do powiedzenia, że, od czasu jak nie widziała Gizeli, upłynęło „iks czasu”. (Przysiągłbym, że w zeszłym roku nie znała tego zwrotu). Nie znaczy to, aby już za mojej bytności w Balbec Albertyna nie posiadała pokaźnego zasobu wyrażeń, które świadczą natychmiast że się pochodzi z dostatniej rodziny i które, z roku na rok, matka przekazuje córce, tak jak jej daje, w miarę jak córka rośnie, w uroczystych momentach własne klejnoty. Zrozumiano że Albertyna przestała być małym dzieckiem, kiedy pewnego dnia, dziękując obcej pani za jakiś prezent, powiedziała: „Pani mnie zawstydza”. Pani Bontemps mimowoli spojrzała na męża, który odparł:

– Ha, cóż, idzie jej na czternasty rok!

Wyraźniejsza jeszcze dojrzałość ujawniła się, kiedy Albertyna, mówiąc o młodej panie nieco wątpliwych manier, rzekła: „Trudno nawet poznać, czy ona jest ładna, ma na **cal rózu** na policzkach”. Wreszcie, mimo iż będąc młodą panną, już przybierała wzięcie kobiet swego świata i swojej klasy, powiadając np. kiedy ktoś robił miny: „Nie mogę patrzeć na nią, bo i ja mam ochotę robić miny”, lub też, jeśli ktoś bawił towarzystwo imitacjami: „Najzabawniejsze jest, że kiedy ją udaje, robi się do

niej podobny”. Wszystko to jest zaczerpnięte ze skarbcza towarzyskości. Ale właśnie sfera Albertyny nie mogła – wedle mego wycucia – dostarczyć jej owego „niepospolity”, w sensie w jakim ojciec mój mówił o którymś z nieznanym mu jeszcze kolegów, którego inteligencję mu chwalono: „Zdaje się, że to ktoś zupełnie niepospolity”. **Dobór**, nawet dla golfu, wydał mi się równie nieharmonizujący z rodziną Simonet, jak, w towarzystwie przymiotnika „naturalny”, nie harmonizowałby z tekstem poprzedzającym o kilka wieków prace Darwina. „Iks czasu” wydało mi się jeszcze lepszą wróżbą. Wreszcie, oczywistość przewrotów, nie znanych mi jeszcze ale zdolnych uprawnić we mnie wszystkie nadzieje, ujawniła mi się niezbitcie, kiedy Albertyna oświadczyła mi z zadowoleniem osoby, której sąd nie jest czemś obojętnym:

– Wedle mego przeświadczenia, nie mogło się zdarzyć nic lepszego... Mniemam, że to jest najlepsze rozwiązanie, rozwiązanie eleganckie.

To było tak nowe, było tak widocznie napływem pozwalającym przypuszczać kapryśne wędrówki przez tereny niegdyś jej nieznanne, że przy słowach „wedle mego przeświadczenia” objąłem Albertynę, a przy „mniemam” posadziłem ją na łóżku.

Bez wątpienia, zdarza się, że kobiety bez kultury, zaślubiając człowieka niezwykle wykształconego, otrzymują od męża, jako wiano, takie wyrażenia. I wkrótce po metamorfozie spowodowanej przez noc poślubną, kiedy składając wizyty zachowują pewien dystans wobec dawnych przyjaciółek, widzimy ze zdziwieniem, że stały się kobietami, kiedy, oceniając zalety czyjegoś intelektu, dają dwa **I** przy słowie **intellekt**; ale to jest właśnie cecha odmiany. W słowniku Albertyny, którą znałem niegdyś, największą śmiałością było powiedzieć o osobie nieco ekscentrycznej: „To jest typ!”; lub, kiedy proponowano Albertynie grę: „Nie znajduję pieniędzy na ulicy”, lub wreszcie, kiedy przyjaciółka robiła jej wymówkę, jej zdaniem niezasłużoną: „Doprawdy, ty jesteś kapitalna!” – zwrot podyktowany w takich okolicznościach rodzajem mieszczańskiej tradycji, niemal równie starej jak sam **kapitał**, zwrot z gatunku tych których młoda dziewczyna nieco poirytowana używa, jak się to mówi, „całkiem naturalnie”, to znaczy dlatego że się ich nauczyła od matki, jak się nauczyła mówić pacierz i kłaniać się. Wszystkie te wyrażenia pani Bontemps wszczepiła jej równocześnie z nienawiścią do Żydów i z szacunkiem dla czarnego koloru, który jest „zawsze na miejscu i zawsze dystygowany”; to znaczy nawet nie wyuczyła jej ich formalnie, ale tak jak szczygły pisklęta wzorują się na szczebiocie szczygłów-rodziców, aż same wyrosną w prawdziwe szczygły. Mimo wszystko, „dobór” wydał mi się nabytkiem z obcego plemienia a „mniemam” pełne zachęty. Albertyna nie była już ta sama, zatem nie postąpiłaby może tak samo, nie reagowałaby tak samo.

Nie tylko jej już nie kochałem, ale nawet nie potrzebowałem się obawiać, jak w Balbec, że zniweczę w niej przyjaźń dla mnie – przyjaźń, która od dawna nie istniała. Nie było wątpliwości, że się jej stał oddawna obojętny. Zdawałem sobie sprawę, że nie stanowią już dla Albertyny części „bandy”, do której niegdyś tak pragnąłem należeć, tak szczęśliwy później, że się w niej znalazł. Przytem, ponieważ Albertyna nie miała już nawet, jak w Balbec, wyrazu szczerości i dobroci, nie czułem zbyt wielu skrpułów; mimo to, sądzę, że w rezultacie zdecydowało mnie ostatnie odkrycie filologiczne. Jakby wciąż przydając jakieś nowe ogniwo do powierzchniowego pasma rozmów, pod którymi kryłem swoje sekretne pragnienie, mówiłem, obejmując równocześnie Albertynę siedzącą na łóżku, o jednej z dziewcząt z „bandy”, drobniejszej od innych, ale wcale ładnej. „Tak, odparła Albertyna; robi wrażenie małej gejszy”. Z wszelką pewnością, kiedy poznałem Albertynę, słowo **gejsza** było jej obce. Można przypuszczać, że gdyby rzeczy poszły normalnym torem, nigdyby go nie poznała; co do mnie, nie widziałbym w tem nieszczęścia, bo niema dla mnie słowa bardziej uprzykrzonego. Słyszając je, czuję ten sam ból zębów, co kiedy się włoży do ust za wielki kawałek lodu. Ale Albertyna była tak ładna, że nawet „gejsza” nie raziała mnie u niej zbyt. W zamian, słowo to wydało mi się oznaką jeżeli nie faktycznej defloracji, to bodaj ewolucji wewnętrznej. Na nieszczęście, była już pora, w której musiałem wyprawić Albertynę, o ile chciałem aby wróciła na czas na obiad i abym ja wstał dość wcześnie na swój obiad. Gotowała mi Franciszka, która nie lubiła aby obiad czekał. Już to musiało obrażać jeden z artykułów jej kodeksu, że Albertyna przyszła do

mnie w nieobecności rodziców, że siedzi bez końca, tak że wszystko się przez nią spóźni. Ale wobec „gejszy” wszystkie te racje upadły; powiedziałem skwapliwie:

– Wyobraź sobie, że ja wcale nie mam łaskotek, mogłabyś mnie łaskotać godzinę, a jabyłm nawet nie uczył.

– Doprawdy!

– Ręczę ci.

Albertyna zrozumiała z pewnością, że to jest niezręczny wyraz pragnienia; uczyniła jak ktoś, kto nam ofiarowuje rekomendację, o którą nie śmieliśmy go prosić, ale do której aluzja przebijała w naszych słowach.

– Czy mam spróbować? – rzekła z kobiecą pokorą.

– Jeżeli sobie życzysz; ale w takim razie byłoby wygodniej, gdybyś się całkiem wyciągnęła na łóżku.

– Czy tak?

– Nie, głębiej.

– Ale czy nie jestem za ciężka?

Domawiała tych słów, kiedy się drzwi otwały i Franciszka weszła niosąc lampę. Albertyna ledwo miała czas usiąść z powrotem na krześle. Może Franciszka wybrała umyślnie tę chwilę, aby nas zawstydzić; może podsłuchiwała pod drzwiami lub nawet patrzyła przez dziurkę od klucza. Ale nie potrzebowałem się posuwać do takiego przypuszczenia; Franciszka mogła się obejść bez sprawdzania wzrokiem tego co jej instynkt musiał dostatecznie przewąchać; w miarę bowiem jak żyła w naszym domu, obawa, ostrożność, baczność i chytryść nauczyły ją w końcu w instynktowny i jasnowidzący niemal sposób znać nas, tak jak majtek zna morze, myśliwiec zwierzynę, a chorobę jeżeli nie lekarz, to często bodaj chory. Wszystko to co Franciszka zdołała przeniknąć, mogłoby zdumieć tak, jak nas zdumiewa daleko posunięty stan pewnych wiadomości u starożytnych, wobec ich prymitywnych środków informacji. (Środki Franciszki nie były bogatsze: ot, parę słów, stanowiących ledwie dwudziestą część naszych rozmów przy obiedzie, słów pochwyconych w lot przez kamerdynera i niedokładnie zaniesionych do kredensu). Nawet błędy jej wynikały raczej – jak błędy starożytnych, jak bajki w które wierzył Platon – z fałszywych pojęć o świecie i z powziętych z góry idei, niż z ubóstwa środków materialnych. W ten sposób, jeszcze za naszych czasów, największe odkrycia w dziedzinie życia owadów mógł poczynić uczoney, który nie rozporządzał żadnym laboratorjum, żadnym przyrządem. Ale o ile braki, naturalne u służącej, nie przeszkodziły Franciszce nabyć wiedzy, koniecznej dla jej celów – cel ów polegał na tem, aby nas zawstydzić, udzielając nam rezultatów tej wiedzy – skrępowanie zrobiło więcej; tu zaporą nie ograniczyła się do nie paralizowania rozmachu, ale wspomagała go potężnie. Faktem jest, że Franciszka nie zaniedbała żadnego środka pomocniczego – intonacji i gestu. O ile nie wierzyła nigdy w to, cośmy jej mówili i w cośmy pragnęli wzbudzić jej wiarę, przyjmowała w zamian bez cienia wątpliwości wszystko najniedorzeczniejsze co opowiadała osoba z jej klasy, a zwłaszcza to, co mogło obrażać nasze pojęcia. O ile sposób, w jaki słuchała naszych twierdzeń, świadczył o jej niedowierzaniu, o tyle akcent, z jakim powtarzała (gdyż ta pośrednia forma pozwalała jej bezkarnie obrzucać nas najgorszymi zniewagami) słowa kucharki, która jej opowiedziała jak zwymyślała swoich państwa i jak, traktując ich przy wszystkich od „ścierwa”, uzyskała od nich tyśiąc przywilejów, świadczył, że Franciszka wierzy w to jak w ewangelję. Dodawała nawet: „Ja, bywszy państwem, nie zniesłabym czegoś takiego”. Daremnie, mimo naszej niewielkiej sympatji do damy z czwartego piętra, wzruszaliśmy ramionami, niby na nieprawdopodobną bajkę, na to opowiadanie, stanowiące tak zły przykład; odtwarzając je, Franciszka umiała mu nadać nie znoszący repliki i drażniący ton pewnika wykluczającego wszelką dyskusję.

Ale zwłaszcza, jak pisarze, skrępowani tyranią monarchy lub poetyki, surowością prozodji lub religją państwową, osiągają często siłę wyrazu, z jakiej byłby ich zwolnił ustrój politycznej swobody lub literackiej anarchii, tak Franciszka, nie mogąc nam odpowiedzieć w sposób wyraźny, mówiła jak Tejrezjasz, a pisałaby jak Tacyt. Wszystko czego nie mogła wyrazić wprost, umiała zawrzeć w

jednym zdaniu, do którego nie mogliśmy się przyczepić bez ujmy dla siebie samych; a nawet nie w zdaniu, ale w milczeniu, w sposobie w jaki stawiła jakiś przedmiot.

Zdarzyło się naprzykład zostawić na biurku, przez nieuwagę, między innymi listami, jakiś list, którego Franciszka nie powinna była widzieć, dlatego naprzykład że piszący mówił o Franciszce z niechęcią pozwalającą się domyślać podobnej niechęci u adresata. Wieczorem, kiedy wróciłem niespokojny i skierowałem się wprost do swego pokoju, wówczas, na listach ułożonych w porządku we wzorową kupkę, kompromitujący dokument odrazu uderzał moje oczy, tak jak musiał uderzyć wprzód oczy Franciszki; leżał umieszczony przez nią na samym wierzchu, prawie osobno, z ostentacją która miała swój język, swoją wymowę, i która już w drzwiach krzyczała do mnie przypinając mnie o wstrząs. Franciszka celowała w przygotowywaniu tych efektów, mających w jej nieobecności objaśnić widza tak skutecznie, że kiedy później wkraczała, ów pewien był że ona wie wszystko. W tem aby kazać mówić martwym przedmiotom, kojarzyła genialną i cierpliwą sztuką Irvinga i Fryderyka Lemaître.

W tej chwili, trzymając nad Albertyną i nademną zapaloną lampę, dobywającą z cienia wszystkie widocznie jeszcze ślady, jakie ciało młodej dziewczyny wyłobiło na łóżku, Franciszka robiła wrażenie *Sprawiedliwości oświetlającej zbrodnię*. Twarz Albertyny nie traciła na tem oświetleniu. Wydobyło ono z jej policzków ten sam słoneczny połysk, który mnie czarował w Balbec. Ta twarz Albertyny, której całość miewała czasem na dworze jakąś matową bladość, ukazywała przeciwnie – w miarę oświetlenia lampą – płaszczyzny tak lśniące i równo zabarwione, tak jędrne i gładkie, że możnaby je porównać z bogatą karnacją pewnych kwiatów.

Zdumiony nieoczekiwanem wejściem Franciszki, wykrzyknąłem:

– Jakto, już lampa? Och, jakże to światło razi!

Drugie z tych zdań miało z pewnością pokryć moje zmieszanie, pierwsze usprawiedliwić zapóźnienie się. Z okrutną dwuznacznością Franciszka odparła:

– Czy mam zgaszać?

– Sić? szepnęła mi w ucho Albertyna, spowijając mnie czarem poufalej żywości, z jaką, przyjmując mnie równocześnie za mistrza i za współnika, wsunęła to psychologiczne stwierdzenie w pytający ton kwestji gramatycznej.

Kiedy Franciszka wyszła, a Albertyna znów usiadła na łóżku, rzekłem:

– Czy wiesz, czego się boję? Jeśli tak dalej pójdzie, nie będę się mógł wstrzymać, aby cię nie pocałować.

– Toby było straszne nieszczęście.

Nie odrazu usłuchałem tego zaproszenia; komu innemu mogłoby się ono nawet wydać zbyt cenne, bo Albertyna miała akcent tak zmysłowy i słodki, że już mówiąc do kogoś zdawała się go tulić. Słowo jej było pieśczętą, rozmowa jej obsypywała pocałunkami. A przecież to zaproszenie było mi bardzo miłe. Byłoby mi miłe nawet ze strony innej ładnej dziewczyny w tym samym wieku; ale fakt że Albertyna była dla mnie teraz tak łatwa, dawał mi więcej niż przyjemność, dawał mi konfrontację obrazów nasyconych pięknnością. Przypomniałem sobie Albertynę najpierw na plaży, prawie namalowaną na tle morza, mającą dla mnie istnienie nie bardziej rzeczywiste niż owe obrazy w teatrze, gdzie nie wiemy czy mamy do czynienia z samą aktorką, ze statystką dublującą ją w danej chwili, czy jedynie z projekcją świetlną. Potem prawdziwa kobieta odszczepiła się od świetlnego pęku, podeszła do mnie, ale jedynie poto, abym mógł stwierdzić, że w rzeczywistym świecie nie jest ona bynajmniej tak przystępna, jak się to wydawało w magicznym obrazie. Dowiedziałem się, że niepodobna dotknąć jej, pocałować, że można z nią tylko rozmawiać, że taksamo nie jest dla mnie kobietą, jak nefrytowe winogrona, niejadalna dekoracja dawnych stołów, nie są winogronami. I oto na trzecim planie ukazywała mi się, realna jak w drugiej koncepcji, ale łatwa jak w pierwszej; i to tem rozkoszniej łatwa przez to że tak długo nie wierzył w tę łatwość. Mój wzrost wiedzy o życiu (mniej jednolitem, mniej prostym niż sądziłem zrazu) przywiódł mnie tymczasowo do agnostycyzmu. Cóż

można twierdzić, skoro to w co się wierzyło zrazu okazało się fałszywe potem i znowuż na trzeciej kondygnacji okazuje się prawdą?

I niestety, nie był to koniec moich odkryć z Albertyną. W każdym razie, nawet gdyby nie romantyczny urok tej lekcji bogactwa przekrojów odsłanianych kolejno przez życie (urok, przeciwny temu, jakiego kosztował Saint-Loup przy obiedzie w Rivebelle, odnajdując na spokojnej twarzy niegdyś dotykane ustami rysy pośród masek jakie nałożyło życie), wiadomość że pocałować Albertynę jest rzeczą możliwą, dawała przyjemność większą może jeszcze niż sam pocałunek. Cóż za różnica między posiadaniem jakiejś kobiety, z którą stykamy się tylko fizycznie (bo jest tylko kawałkiem ciała), a posiadaniem młodej panny, którą widywało się na plaży w gronie przyjaciółek, w pewne dni – nie wiadomo nawet czemu w te dni raczej niż w inne – wśród nieustannej obawy, że się jej już nie ujrzy. Życie odkryło nam w całej rozciągłości powieść o tej dziewczynce; dało nam dla oglądania jej jedno narzędzie optyczne, potem inne; przydało cielesnej żądzy akompanjament, zstokrotniający ją i różniący ją od owych bardziej duchowych i trudniejszych do zaspokojenia pragnień, które nie budzą się z odrętwienia i pozwalają żądzy działać samej, wówczas gdy zmierza jedynie do posiadania kawałka ciała. Ale te same pragnienia, aby pojąć całą sferę wspomnień, rodzących w nich nostalgię wygnańczą, wznoszą się burzliwie obok owej żądzy, potęgują ją: nie mogąc za nią podążyć aż do spełnienia, aż do wchłonięcia niematerjalnej rzeczywistości – wchłonięcia niemożliwego w tej postaci, w jakiej jej pragniemy, oczekują owej żądzy w połowie drogi i znowuż towarzyszą jej w chwili wspomnienia, nawrotu. Zamiast policzków pierwszej lepszej, choćby najświeższych ale bezimiennych, pozbawionych tajemnicy i uroku, całować lica o których tak długo marzyłem, znaczyłoby poznać smak i soczystość jakże często oglądanego koloru. Widziało się kobietę, prosty obraz pomieszczony w dekoracji życia, kobietę – jak Albertyna – rysującą się na tle morza; i nagle można ten obraz zdjąć, postawić go koło siebie, oglądać kolejno jego wymiary, kolory, tak jakby się go przesuwano za szkłem stereoskopu. Dlatego właśnie jedynie interesujące są kobiety nieco trudne, których nie zdobywa się odrazu, o których zrazu nie wiemy nawet czy kiedy będziemy je mogli posiadać. Bo znać je, zbliżyć się do nich, zdobywać je, to znaczy zmieniać kształt, wielkość, oprawę ludzkiego obrazu; to jest lekcja względności w ocenie zjawiska, pięknego do oglądania na nowo, kiedy odzyskało swoją cienkość sylwetki w dekoracji życia. Kobiety, które się poznało poprostu u stręczycielki, nie interesują nas, bo pozostają niezmiennie.

Z drugiej strony, Albertyna skupiała dokoła siebie wszystkie wrażenia serji morskiej, szczególnie mi drogiej. Zdawało mi się, że na policzkach tej dziewczyny mógłbym ucałować całą plażę Balbec.

– Jeżeli naprawdę pozwalasz się pocałować, wolałbym to odłożyć na później i dobrze wybrać moment. Ale żebyś tylko nie zapomniała wtedy, żeś mi pozwoliła. Trzeba mi dać „bon na pocałunek”.

– Mam go podpisać?

– A gdybym go wziął zaraz, czy i tak miałbym do niego prawo później?

– Zabawny jesteś ze swojemi bonami; wystawię ci nowy od czasu do czasu.

– Powiedz mi jeszcze jedno: wiesz, w Balbec, kiedy cię jeszcze nie znałem, często miałaś spojrzenie twarde, chytre; czy nie mogłabyś mi powiedzieć, o czym myślałaś w takich chwilach?

– Och, całkiem nie pamiętam.

– O, żeby ci pomóc: jednego dnia, twoja przyjaciółka Gizela skoczyła równymi nogami przez krzesło, na którym siedział starszy pan. Staraj się sobie przypomnieć, coś pomyślała w tej chwili.

– Z Gizelą byliśmy wogóle dość daleko; ot, należała ostatecznie do bandy, ale nie całkiem. Musiałam pomyśleć, że jest pospolita i źle wychowana.

– A! to wszystko?

Byłbym chciał, przed pocałowaniem Albertyny, móc ją na nowo napełnić tajemnicą, jaką była dla mnie na plaży zanim ją poznałem; odnaleźć w niej krainę, gdzie żyła przedtem; w miejsce tej krainy, skoro jej nie znałem, mogłem bodaj wstawić wszystkie wspomnienia naszego życia w Balbec, plusk fal rozpryskujących się pod oknem, krzyki dzieci. Ale, pozwalając spojrzeniom ślizgać

się po różowej krągłości jej policzków, których łagodne linje zamierały u stóp pierwszych fal jej pięknych czarnych włosów biegnących w kształcie ruchomych pagórków, wznoszących strome blanki i złobiących falistości swoich bruzd, musiałem sobie powiedzieć: „Ostatecznie, skoro mi się to nie powiodło w Balbec, chcę wreszcie poznać smak tej nieznannej róży, policzków Albertyny. I skoro kręgi, przez jakie możemy przeprowadzić rzeczy i ludzi w biegu naszego istnienia, nie są zbyt liczne, będę mógł poniekąd uważać swoje istnienie za spełnione, skoro, wyrwawszy z odległej ramy kwitnącą twarz, którą wybrałem wśród wszystkich innych, ściągnę ją na tę nową płaszczyznę, gdzie dostąpię wreszcie poznania jej przez wargi”. Powiadałem to sobie, bo sądziłem, że istnieje poznanie przez wargi; powiadałem sobie że poznam smak tej cielesnej róży, bom nie pomyślał, że człowiekowi, istocie oczywiście mniej pierwotnej niż jeżowiec a nawet niż wieloryb, brak jest wszelako jeszcze pewnej ilości zasadniczych narządów; a zwłaszcza nie posiada żadnego, któryby służył do pocałunku. Ten nieistniejący organ zastępuje człowiek wargami, przez co dochodzi może do rezultatów nieco doskonalszych, niż gdyby był skazany na pieszczenie kochanki rogiem. Ale wargi, stworzone na to aby przewodzić do podniebienia smak tego co je kusi, muszą się zadowalać – nie rozumiejąc swej omyłki i nie przyznając się do swego rozczarowania – błędzeniem po powierzchni, muszą się objąć o zamknięcie nieprzenikalnej i upragnionej twarzy. Zresztą w tej chwili, w samym zetknięciu z ciałem, wargi – nawet przyjąwszy że stałyby się sprawniejsze i lepiej obdarzone – również nie mogłyby z pewnością kosztować smaku, którego natura nie pozwala im obecnie pochwycić, bo w tej beznadziejnej strefie, gdzie nie mogą znaleźć swego pokarmu, zostały samotne; wzrok, a potem węch, opuściły je oddawna. Zrazu, w miarę jak moje usta zaczęły się zbliżać do twarzy, którą wzrok mój kazał im ucałować, wzrok ów, zmieniając miejsce, ujrzał nowe policzki; szyja, oglądana z bliska i niby pod lupą, ujawniła w ziarninie tkanki jędrność, która zmieniła charakter twarzy.

Ostatnie zdobycze fotografii ścielą u stóp katedry domy, które zbliska wydawały się nam często prawie równie wysokie jak wieże; każą się kolejno poruszać tym samym budowłom nakształt pułku, szeregami, tyralierką, zwartemi masami; zbliżają do siebie wzajem na Piazzetta dwie kolumny, przed chwilą tak od siebie odległe; oddalają bliskie *Salute* i umieją, na bladym i zatartym tle, zamknąć olbrzymi widnokrąg pod łukiem mostu, w ramie okna, wśród liści znajdującego się na pierwszym planie i silniej zaznaczonego drzewa; stwarzają kolejno jednemu i temu samemu kościołowi ramę z arkad wszystkich innych. I uważam, że jedynie ten proces mógłby, w równym stopniu co pocałunek, z tego, co uważamy za jakąś rzecz o określonym wyglądzie, wydobyć sto innych rzeczy, któremi ona jest równie dobrze, skoro każda z nich jest wyrazem nie mniej uprawnionej perspektywy. Krótko mówiąc, tak samo jak w Balbec Albertyna wydawała mi się często rozmaita, tak teraz, jakgdybym, szalenie przyspieszając szybkość zmian perspektywy i zabarwienia, nastęrczonych nam przez daną osobę w kolejnych spotkaniach, chciał je zawrzeć wszystkie w kilku sekundach, aby doświadczalnie odtworzyć zjawisko różnicujące osobowość jakiejś istoty i wydobyć wszystkie zawarte w niej możliwości – jedno z drugich, niby z futerału – w owej krótkiej wędrówce moich warg do jej policzka, ujrzałem dziesięć Albertyn; ta jedna dziewczyna stała się niby bogini o wielu głowach; ostatnia, którą widziałem kiedym się starał zbliżyć do niej, ustępowała miejsca innej. Dopókim nie dotknął tej głowy, widziałem ją bodaj, dochodził mnie jej lekki zapach. Ale, niestety, nasze nozdrza i oczy są równie źle umieszczone dla pocałunku, jak wargi źle są ukształtowane do tego celu: naraz, oczy moje przestawały widzieć, potem mój nos, zgnieciony, nie czuł już żadnego zapachu... Nie poznałem przez to lepiej smaku upragnionej różowości, ale odgadłem z tych przykrych oznak, że wreszcie całuję twarz Albertyny.

Czy to dlatego, żeśmy odgrywali scenę odwrotną do sceny z Balbec (wyobrażoną przez obrót bryły), gdy ja leżałem a Albertyna siedziała (nając tem samym możność uniknięcia brutalnego ataku i kierowania przyjemnością wedle własnej chęci), czy dlatego przyzwoliła mi teraz z taką łatwością tego, czego mi odmawiała niegdyś z miną tak surową? (Bez wątpienia, rozkoszny wyraz, jaki przybierała dziś jej twarz za zbliżeniem moich warg, różnił się od owej dawnej miny zmianą nieskończenie drobną, ale zdolną zawrzeć cały dystans istniejący między gestem człowieka który

dobija rannego, a gestem człowieka który go ratuje; między portretem wspaniałym lub okropnym). Nie wiedząc, czy mam być wdzięczny za odmianę Albertyny jakiemuś mimowolnemu dobroczyńcy, który pracował dla mnie w ciągu ostatnich miesięcy w Paryżu lub w Balbec, sądziłem, że to nasza zobopólna pozycja była główną przyczyną tej odmiany. Ale Albertyna podała mi inną rację, mianowicie tę: „A bo wówczas w Balbec nie znałam cię jeszcze, mogłam myśleć, że masz złe zamiary”. Ten argument wprowadził mnie w osłupienie. Albertyna wytoczyła go z pewnością szczerze. Tak trudno jest kobiecie w ruchach swoich członków, we wzruszeniach swego ciała, w sam na sam z przyjacielem rozpoznać ów nieznany grzech i paniczny lęk iż obcy człowiek zamierza ją do niego wciągnąć.

W każdym razie, jakiegobądź zmiany zaszły od jakiegoś czasu w jej życiu – zmiany zdolne może wytłumaczyć fakt, że Albertyna tak łatwo użyczyła mojemu doraźnemu i czysto fizycznemu pragnieniu tego, czego w Balbec ze zgrozą odmówiła mojej miłości – bardziej zdumiewająca zmiana zaszła w Albertynie tegoż samego wieczoru, skoro tylko jej pieszczoty doprowadziły mnie do finału, który musiała z pewnością spostrzec; bałem się nawet, aby to w niej nie zrodziło lekkiego odruchu wstrętu i obrażonego wstydu, jakie zdradziła Gilberta w podobnym momencie za klombem laurów na Polach Elizejskich.

Stało się przeciwnie. Już w chwili gdym położył Albertynę na łóżku i zaczął ją pieścić, przybrała wyraz, jakiego u niej nie znałem, wyraz powolnej, prostej, dziecięcej niemal uległości. Odsuwając od niej wszelkie myśli, wszelkie zwyczajne pretensje, chwila poprzedzająca rozkosz – podobna w tem do chwili która następuje po śmierci wróciła jej odmłodzonym rysom jakgdyby niewinność dzieciństwa. Niewątpliwie, wszelka istota, której talent ma się sposobność nagle objawić, staje się skromna, pilna i urocza; o ile zwłaszcza czuje, że tym talentem sprawia nam wielką przyjemność, sama jest z tego szczęśliwa, chce nam dać tę rozkosz pełną. Ale w tym nowym wyrazie twarzy było u Albertyny coś więcej niż zawodowa bezinteresowność, sumiennność i szczodrość; było coś nakształt nagłego i konwencjonalnego oddania; w czym Albertyna sięgnęła dalej niż we własne dzieciństwo, odnalazła młodość swojego gatunku. Bardzo różna odemnie, który nie pragnąłem niczego więcej poza fizycznym ukojeniem uzyskanem w końcu, Albertyna uważała widocznie, że byłoby z jej strony czemś zbyt pospolitem wierzyć że ta fizyczna rozkosz może się obyć bez udziału serca i że czemuś kładzie koniec. Ona, tak spieszący się przed chwilą, teraz – z pewnością i dlatego, że uważała iż pocałunki wyrażają miłość i że miłość przeważa wszelkie obowiązki – kiedym jej przypominał obiad, mówiła:

– Ale to nic nie szkodzi, wierz mi, ja mam czas.

Zdawało się, że ją żenowałoby wstać po tem co zrobiła, urażałoby to jej poczucie form. Tak Franciszka, kiedy, nie odczuwając pragnienia, uznała że powinna przyjąć z przystojną wesołością kieliszek wina, którem ją częstował Jupien, nie ośmieliłaby się odejść zaraz po ostatnim łyku, choćby ją wzywał najpilniejszy obowiązek. Albertyna – i to była może (obok innej, która ujawni się później) przyczyna, która bez mojej wiedzy kazała mi jej pragnąć – była jednym z wcieleń młodej wieśniaczki francuski, której model znajduje się w Saint-Andre-des-Champs. Poznałem w niej – wspólne jej i Franciszce, która miała jednak stać się niebawem jej śmiertelnym wrogiem – uprzejmość dla gościa i dla innoziemca, obyczajność, szacunek łoża.

Franciszka, która, po śmierci cioci Leonji, czuła się obowiązana stale mówić bolesciwym tonem, uważałaby za nieprzyzwoite w ciągu miesięcy poprzedzających ślub córki, gdyby ta, przechadzając się z narzeczonym, nie szła z nim pod ramię. Albertyna, leżąc bezwładnie obok mnie, powiadała:

– Masz ładne włosy, masz ładne oczy, milusi jesteś.

Kiedy, zwróciwszy jej uwagę że jest późno, dodałem: „Nie wierzysz?” – odpowiedziała, co było może prawdą, ale dopiero od dwóch minut i na kilka godzin:

– Wierzę ci zawsze.

Mówiła o mnie, o mojej rodzinie, o mojej sferze. Powiadała: „Och, ja wiem, że twoi rodzice znają ludzi bardzo dystyngowanych. Jesteś w przyjaźni z Robertem Forestier i z Zuzią Delage”. W pierwszej chwili, te nazwiska nie powiedziały mi nic. Ale nagle przypomniałem sobie, że w istocie bawiłem się na Polach Elizejskich z Robertem Forestier, którego nigdy od tego czasu nie widziałem. Co do Zuzi Delage, była to cioteczna wnuczka pani Blandais; miałem raz iść do niej na lekcję tańca, a nawet grać jakąś rolę w teatrze amatorskim w domu jej rodziców. Ale obawa że dostanę ataku konwulsyjnego śmiechu i krwawienia z nosa, udaremniły tę wizytę, tak że nigdy owej Zuzi Delage nie widziałem. Conajwyżej przypomiąłem sobie coś mglisto, że nauczycielka z piórkim od Swannów była wprzód u jej rodziców, ale może to była tylko siostra tej nauczycielki, albo jej przyjaciółka. Upewniłem Albertynę, że Robert Forestier i Zuzanna Delage mało zajmują miejsca w moim życiu. „Możliwe, wasze matki żyją blisko z sobą, to pozwala określić twoją pozycję. Często mijam się z Zuzią Delage na *avenue de Messine*; ma szyk”. Nasze matki znały się jedynie w wyobraźni pani Bontemps, która, dowiedziawszy się że niegdyś bawiłem się z Robertem Forestier (podobno deklamowałem mu jakieś wiersze), wywnioskowała stąd, że nasze rodziny żyją z sobą blisko. Ile razy pani Bontemps słyszała nazwisko mamy, zawsze podobno mówiła: „A, tak, to kółko Delage'ów, Forestierów etc.”, dając moim rodzicom dobry stopień, na który nie zasługiwali.

Zresztą pojęcia socjalne Albertyny odznaczały się zadziwiającą głupotą. Uważała, że Simonnetowie przez dwa **n** są czymś niższym nietylko od Simonetów przez jedno **n**, ale od wszystkich innych możliwych osób. To, że ktoś nosi to samo nazwisko nie będąc naszym krewnym, stanowi doniosłą rację gardzenia nim. Zapewne, bywają wyjątki. Może się zdarzyć, że dwaj Simonnetowie (przedstawieni sobie wzajem na jednym z owych zebrań, gdzie się odczuwa potrzebę mówienia o czymkolwiek i gdzie ludzie czują się naładowani optymizmem, naprzykład w orszaku pogrzebowym w drodze na cmentarz), stwierdziwszy wspólność nazwiska, dochodzą z wzajemną życzliwością a bez rezultatu czy nie ma między nimi jakiego pokrewieństwa. Ale to jest wyjątek. Wielu ludzi nie zasługuje na szacunek, ale my nie wiemy o tem lub nie dbamy o to. Ale jeżeli tożsamość nazwiska sprawia, że nam doręczają ich listy lub odwrotnie, zaczynamy się odnosić do nich z nieufnością, często usprawiedliwioną. Obawiamy się omyłek, uprzedzamy je grymasem niesmaku, kiedy ktoś wspomni naszego imiennika. Czytając w dzienniku nasze nazwisko noszone przez niego, mamy uczucie, że on je sobie przywłaszczył. Grzechy innych członków społeczeństwa są nam obojętne. Obciążamy nimi tem ciężej naszych imienników. Nienawiść, jaką żywimy dla innych Simonnet, jest tem silniejsza, że nie jest indywidualna, ale przekazywana dziedzicznie. Po upływie dwóch pokoleń pamięta się jedynie wzgardliwą minę, jaką dziadkowie nasi mieli dla innych Simonnetów; nie znamy jej przyczyn; nie zdziwiłaby nas wiadomość, że się to zaczęło od jakiegoś morderstwa. To trwa często aż do dnia, kiedy między jakąś Simonnetówną i Simonnetem – wcale nie krewnymi – sprawa zakończy się małżeństwem.

Albertyna mówiła mi nie tylko o Robercie Forestier i o Zuzi Delage, ale samorzutnie, z obowiązku zaufania, jakie stwarza zbliżenie ciał, przynajmniej z początku, zanim zrodzi specjalną dwoistość i skrytość w stosunku do tej samej istoty, opowiedziała mi o swojej rodzinie i o wuju Anny historję, której w Balbec nie chciała mi zdradzić ani słówkiem. Obecnie sądziła, że nie godzi się mieć dla mnie sekretów. Teraz, gdyby najlepsza przyjaciółka opowiedziała jej coś przeciw mnie, Albertyna uważałaby za swój obowiązek powtórzyć mi to.

Nalegałem, aby poszła do domu; poszła w końcu, ale tak zawstydzona za mnie moją niedelikatnością, że niemal śmiała się aby mnie usprawiedliwić, niby pani domu, do której ktoś przyjdzie w marynarce; przyjmie takiego gościa, ale nie jest to jej obojętne.

– Śmiejesz się? rzekłem.

– Nie śmieję się, uśmiecham się do ciebie, rzekła tkliwie. Kiedy cię znów zobaczę? – dodała, jakby nie dopuszczając myśli, aby to, cośmy zrobili – będące zazwyczaj uwieńczeniem – nie było bodaj wstępem do wielkiej przyjaźni, do przyjaźni prajstniejszej, którą naszą powinnością wobec

samych siebie było odkryć, wyznać sobie wzajem i która sama jedna mogła wytłumaczyć to, czegośmy się dopuścili.

– Skoro mnie upoważniasz, dam ci znać, jak tylko będę mógł.

Nie śmiałem jej powiedzieć, że uzależniam wszystko od możliwości widywania pani de Stermaria.

– Ale daruj, że to wypadnie niespodzianie, ja nigdy nie wiem z góry – rzekłem. Czy byłoby możliwe ściągnąć cię kiedy wieczorem, kiedy będę wolny?

– Niedługo będzie to bardzo możliwe, bo będę miała osobne wejście, niezależnie od ciotki. W tej chwili niema sposobu! W każdym razie, znajdę na wszelki wypadek jutro lub pojutrze popołudniu. Przyjmiesz mnie o ile będziesz mógł.

Doszedłszy do drzwi, zdziwiona zem jej nie wyprzedził, podała mi policzek, uważając że nie potrzeba grubej fizycznej żądy na to aby się teraz pocałować. Ponieważ krótkie stosunki, jakie nas łączyły przed chwilą, były z rzędu tych, do jakich prowadzi czasem najbliższa zażyłość i wybór serca, Albertyna uważała za swój obowiązek zaimprovizować i dodać doraźnie do pocałunków, jakieśmy wymienili na łóżku, uczucie, motywujące te pocałunki u rycerza i damy, takich jakich by mógł wyroić średniowieczny rybałt.

Kiedy mnie opuściła ta młoda Pikardka, którą mógłby wyrzeźbić w kruchcie snycerz zdobiący kościół Saint-André-des-Champs, Franciszka przyniosła mi list, który mnie przejął radością. List był od pani de Stermaria; godziła się zjeść ze mną obiad. Od pani de Stermaria – to znaczy dla mnie więcej niż od pani de Stermaria rzeczywiście: od tej, o której myślałem cały dzień przed przybyciem Albertyny. To jest straszliwe oszukaństwo miłości, że zaczyna nas mieć nie kobietą ze świata realnego, ale lalką zamieszkałą w naszym mózgu, jedyną zresztą którą mamy zawsze do rozporządzenia, jedyną, którą będziemy posiadali, którą dowolność wspomnienia, prawie równie absolutna jak dowolność wyobraźni, może uczynić tak odmienną od kobiety rzeczywistej, jak rzeczywiste Balbec było dla mnie różne od Balbec marzonego; – sztuczny twór, do którego pomału, ku naszej męce, upodobnimy realną kobietę.

Albertyna tak mnie zapóźniła, że kiedym przybył do pani de Villeparisis, przedstawienie skończyło się właśnie. Niezbyt miałem ochotę przeciskać się przez tłum gości, który odpływał, komentując wielką nowinę: separację (podawano ją za fakt dokonany) księstwa Błazejów. W oczekiwaniu aż będę się mógł przywitać z panią domu, siadłem na pustej berzerce w saloniku, kiedy z głównego salonu, gdzie z pewnością siedziała w pierwszym rzędzie krzesel, wyłoniła się księżna Oriana – majestatyczna, duża i wysoka, w długiej atlasowej żółtej sukni, haftowanej w ogromne czarne maki. Widok jej nie budził już we mnie żadnego wzruszenia. Pewnego dnia, mama rzekła do mnie, kładąc mi ręce na czole, jak miała zwyczaj czynić, kiedy się bała że mi sprawi przykrość; „Nie rób tych wypraw na spotkanie pani de Guermantes; cały dom śmieje się z tego. Widzisz zresztą, jaka babcia jest chora; doprawdy, masz ważniejsze rzeczy, niż czatować na kobietę, która sobie drwi z ciebie”. I, od jednego zamachu, jak hipnotyzer, gdy ci otwiera oczy i sprowadza cię z powrotem z dalekiego kraju gdzie bawiłeś wyobraźnią, lub jak lekarz, gdy, budząc w tobie poczucie obowiązku i rzeczywistości, leczy cię z urojonej choroby, w której się lubowałeś, matka obudziła mnie z nazbyt długiego snu. Następny dzień obróciłem na ostatnie pożegnanie z chorobą, której się wyrzekałem; płacząc, śpiewałem przez kilka godzin *Pożegnanie Szuberta*.

...Żegnaj – dziwne głosy

Wzywają cię, aniele, byś leciał w niebiosy.

A potem, już był koniec. Przerwałem swoje ranne spacerki, i to tak łatwo, że wyciągnąłem z tego wróżbę – fałszywą, jak się okaże później – że łatwo przyzwyczaiłbym się do tego, aby nie widzieć już kobiety w ciągu życia. A kiedy potem Franciszka opowiedziała mi, że Jupien, chcąc powiększyć swój zakład, szuka sklepu w sąsiedztwie, wówczas, pragnąc dla niego coś znaleźć, mogłem podjąć

na nowo swoje spaceru. Czułem się szczęśliwy, iż wałęsając się po ulicy, którą już z łóżka słyszałem krzyżącą łśniącą nakształt plaży, widzę pod żelazną podniesioną żaluzją mleczarni młode mleczarki o białych rękawach. Czułem się bardzo swobodny, bo miałem świadomość, że nie robię już tego dla widzenia pani de Guermantes; coś niby kobieta, która zachowuje nieskończone ostrożności dopóki ma kochanka, z chwilą zaś gdy z nim zerwała, pozwala się wałęsać jego listom, narażając się na to, że mąż odkryje tajemnicę błędu, którego przestała się obawiać z chwilą gdy się go przestała dopuszczać. Często spotykałem pana de Norpois.

Prawdziwą przykrość sprawiało mi odkrycie, że prawie wszystkie domy zamieszkałe były przez ludzi nieszczęśliwych. Tu żona płakała bezustanku, bo ją mąż zdradzał. Gdzieindziej – odwrotnie. Ówdzie znów, pracowita matka, grzmocona przez syna pijaka, starała się kryć swoje niedole przed oczami sąsiadów. Połowa ludzkości płakała. A kiedy poznałem tę połowę, przekonałem się, że jest tak nieznośna, iż pytałem sam siebie, czy słuszność nie jest po stronie cudzołownego męża lub wiarołomnej żony, którzy byli wiarołomni jedynie dlatego że im odmówiono legalnego szczęścia, stawali się zaś czarujący i uczciwi dla każdego innego niż własna żona i własny mąż.

Niebawem moje ranne przechadzki straciły pretekst pomożenia Jupienowi. Okazało się, że stolarz, którego warsztat w dziedzińcu oddzielało od sklepu Jupiena jedynie cienkie przepierzenie, ma dostać wypowiedzenie od rządcy, bo robi zbyt ni hałas. Jupien nie mógł marzyć o czymś lepszym; warsztat miał suteryny, dotąd służące stolarzowi na skład drzewa, a komunikujące z naszą piwnicą. Jupien znalazłby tam pomieszczenie na węgle, usunąłby przepierzenie i miałby jeden obszerny sklep. Ale nawet bez tego pretekstu, dalej wychodziłem na spacer przed śniadaniem. Zresztą Jupien, uważając że cena księcia de Guermantes jest zbyt wygórowana, pozwalał oglądać warsztat, w nadziei, iż książę, zwątpiwszy czy znajdzie lokatora, zdecyduje się na opust; przyczem Franciszka, zauważywszy że nawet po godzinach przeznaczonych na oglądanie lokalu, odźwierny zostawia otwarte drzwi od sklepu stojącego pustką, zwęszyła zasadzkę zastawioną przez odźwiernego poto aby zwać narzeczoną lokaja Guermantów (znaleźliby tam gniazdko dla swojej miłości) a potem ich zaskoczyć.

Jakbądź się rzeczy miały, mimo że już nie potrzebowałem szukać sklepu dla Jupiena, dalej wychodziłem przed śniadaniem. Często, w czasie tych spacerów, spotykałem pana de Norpois. Zdarzało się, że rozmawiając z którymś z kolegów, kierował na mnie spojrzenie, które, zbadawszy mnie gruntownie, wracało bez uśmiechu i bez ukłonu, tak jakby mnie ambasador wcale nie znał. Bo u tych ważnych dyplomatów popatrzyć w pewien sposób zgoła nie ma na celu okazać że nas widzieli, ale że nas nie widzieli i że mają do pomówienia z kolegą o jakiejś ważnej sprawie.

Wysoka dama, którą mijałem często w pobliżu domu, była ze mną mniej ceremonialna. Bo, mimo że jej nie znałem, obracała się w moją stronę, oczekiwała mnie – napróżno – przed witrynami sklepów, uśmiechała się do mnie tak jakby mnie miała uściskać, oddawała się gestem. Jeśli spotkała kogoś, kto ją znał, przybierała z powrotem lodowatą minę.

Już oddawna, w czasie tych rannych spacerów wedle tego com miał załatwić, bodaj aby kupić bylejaką gazetę – wybierałem drogę najprostszą, bez żalu gdy leżała poza zwyczajną drogą księżnej, a bez skrupułów i komedji jeżeli przeciwnie wiodła tamtędy. Bo ta droga nie była już dla mnie drogą zakazaną, gdzie wydzieriałem niewdzięcznej fawor oglądania jej wbrew woli. Ale nie myślałem, że moje uleczenie, dając mi w stosunku do pani de Guermantes normalną postawę, równolegle sprawi w niej ten sam skutek, umożliwiając jej uprzejmość i sympatję, o które już nie stałem. Dotychczas, sprzymierzone wysiłki całego świata w tem aby mnie do niej zbliżyć, byłyby daremne wobec złych uroków, jakie rzuca nieszczęśliwa miłość. Potężniejsze od ludzi wróżki postanowiły, że w takich wypadkach nic nam nie pomoże, aż do dnia, w którym szczerze wyrzeczemy w sercu swoim słowa: „Nie kocham już”. Miałem żal do Roberta, że mnie nie wprowadził do ciotki. Ale jak nikt inny, tak i on nie miał mocy przełamania czarów. Dopókim się kochał w pani de Guermantes, objawy uprzejmości jakich doznawałem od innych, ich komplementy, robiły mi przykrość, nietylko dlatego że nie pochodziły od niej, ale dlatego że ona o nich nie wiedziała. Otóż, gdyby nawet wiedziała, na nic by się to nie zdało. Nawet w trakcie jakiegoś uczucia, wyjazd, wymówienie się od obiadu, mimowolna

i nieświadoma oschłość, więcej pomagają, niż wszystkie kosmetyki i najpiękniejsze stroje. Byłoby więcej karjerowiczów, gdyby w tym sensie uczono sztuki robienia kariery.

W chwili gdy księżna mijiała salonik, z myślą pełną przyjaciół, których nie znałem a których miała może spotkać za chwilę w innym salonie, ujrzała mnie na berzerce. Zobojętniawszy dla niej naprawdę, pragnąłem być poprostu miły; podczas gdy dopóki kochałem, siliłem się – bez rezultatu przybierać wyraz obojętności. Księżna skręciła, podeszła do mnie, odnajdując uśmiech z owego wieczora w Opéra-Comique – uśmiech którego nie gasiło już przykre uczucie że kocha ją ktoś kogo ona nie kocha:

– Nie, niech się pan nie rusza; czy pozwoli pan, abym siadła na chwilę koło pana? rzekła unosząc wdzięcznie olbrzymią spódnicę, która inaczej zajęłaby całą berzerkę.

Większa odemnie i jeszcze powiększona całą objętością swojej sukni, księżna muskała mnie prawie swoim cudnem nagim ramieniem, dokoła którego niedostrzegalny a gęsty puszek wznosił nieustannie niby złocistą parę. Jasne jej włosy poiły mnie zapachem. Nie mogąc z braku miejsca łatwo obrócić się do mnie, zmuszona patrzeć raczej przed siebie niż w moją stronę, pani de Guermantes przybrała wyraz marzący i słodki jak na portrecie.

– Ma pan wiadomości od Roberta? spytała.

W tej chwili przechodziła pani de Villeparisis.

– A, przychodzi pan o ładnej godzinie, szanowny panie, jak na ten jeden raz, kiedy się pana udało złapać!

Spostrzegłszy że rozmawiam z jej siostrzenicą, pomyślała może, że jesteśmy bliżej niż sądziła.

– Ale nie chcę państwu przeszkadzać – dodała (bo usługi rajfurki należą do obowiązku gospodyni domu). Czy nie zechciałby pan zjeść u mnie obiadu we środę razem z Orianą?

Był to dzień spodziewanego obiadu z panią de Stermaria; odmówiłem.

– A w sobotę?

Matka wracała w sobotę lub niedzielę, byłoby nie ładnie zostawić ją samą; odmówiłem znowu.

– Och, widzę że pana nie łatwo jest zdobyć.

– Czemu pan nie przyjdzie nigdy do mnie? rzekła pani de Guermantes, kiedy pani de Villeparisis oddaliła się, aby powinszować artystom i wręczyć diwie bukiet róż, któremu całą wartość dawała ręka ofiarodawczyni, bo kosztował tylko dwadzieścia franków. (Była to zresztą najwyższa cena margrabiny, kiedy ktoś śpiewał tylko raz. Osoby, które uświetniły swoim talentem wszystkie poranki i wieczory, otrzymywały róże jej pendzla).

– To idiotyczne, tak się widywać tylko u innych. Skoro pan nie chce zjeść ze mną obiadu u ciotki, czemu nie miałby pan przyjść na obiad do mnie?

Niektóre osoby, pozostałe pod lada pozorem możliwie najdłużej, ale wychodzące nareszcie, widząc księżną zagadaną z młodym człowiekiem na meblu tak ciasnym, że można się na nim było zmieścić tylko we dwoje, pomyślały że je źle poinformowano, i że to nie książę ale księżna żąda separacji, z mojego powodu. Zaczem pospieszyli rozgłaszać tę nowinę. Lepiej niż ktokolwiek mogłem ocenić jej niedorzeczność. Ale byłem zdumiony, że w owych trudnych okresach kiedy się przebąkiwało o separacji, księżna, zamiast szukać samotności, zaprasza właśnie kogoś, kogo zna tak mało. Zacząłem podejrzewać, że to tylko książę nie pozwalał żonie zaprosić mnie, i że teraz, skoro mąż ją rzuca, księżna nie widzi już przeszkód w otaczaniu się ludźmi, do których czuje sympatję.

Dwie minuty przedtem byłbym zdumiony, gdyby mi ktoś powiedział, że pani de Guermantes zaprosi mnie do siebie, tem bardziej na obiad. Wiedziałem, zapewne, że salon państwa de Guermantes nie może posiadać właściwości, jakie wysnułem z tego nazwiska; mimo to świadomość, że jest on dla mnie zamknięty, kazała mi darzyć go tym samym rodzajem istnienia co salony których opis czytaliśmy w powieści lub których obraz widzieliśmy we śnie. To sprawiło, że nawet kiedyś był pewny że ów salon podobny jest do wszystkich innych, roiłem go sobie całkowicie odmiennym; między mną a nim była granica, przy której się kończy rzeczywistość. Być na obiedzie u państwa de Guermantes, to było coś niby zdawna upragniona podróz, ucieleśnienie marzeń, zawarcie

znajomości ze snem. Mógłbym bodaj przypuszczać, że chodzi o jeden z tych obiadów, na które gospodarstwo domu zapraszają kogoś, mówiąc: „Niech pan przyjdzie, nie będzie **absolutnie** nikogo prócz nas”, udając że przypisują pariasowi lęk przed myślą o zetknięciu się z ich przyjaciółmi i starając się zmienić w szacowny przywilej (zastrzeżony jedynie dla najbliższych) kwarantannę „dzikusów mimowoli”, wykluczonego a rzekomo wybranego. Ale zrozumiałem przeciwnie, że pani de Guermantes pragnie mnie uraczyć tem co ma najprzyjemniejszego, kiedy mi powiedziała, przesuwając równocześnie przed moimi oczami niby fiołkowy czar przybycia Fabrycego do domu ciotki, oraz cud jego prezentacji hrabiemu Mosca w *Pustelni Parmeńskiej*.

– Czy w piątek byłby pan wolny, w małym kółku? To byłoby ślicznie. Będzie księżna Parmy, która jest urocza; zresztą nie zapraszałabym pana, gdyby pan nie miał spotkać ludzi przyjemnych.

W ruchomych sferach „świata”, pochłoniętych nieustannym ruchem wstępującym, rodzina idzie w zaniedbanie; gra ona natomiast ważną rolę w sferach ustabilizowanych, jak drobna burżuazja i jak najwyższa arystokracja, która nie może się wspinać wyżej, bo nad nią, z jej swoistego punktu widzenia, niema nic. Przyjaźń, jaką mi okazywali „ciotka Villeparisis” i Robert, zrobiły może ze mnie, dla pani de Guermantes i dla jej przyjaciół, żyjących wciąż samymi sobą i w tem samym kółku, przedmiot zainteresowania, któremu się nie domyślał.

Pani de Guermantes знаła tych krewnych znajomością rodzinną, codzienną, pospolitą, bardzo różną od tego co sobie wyobrażamy; o ile zaś my sami dostaniemy się w sferę tej świadomości, postęпки nasze, bynajmniej nie wyrzucone z niej niby pyłek z oka lub kropla wody z tchawicy, mogą w niej pozostać wyryte, i jeszcze po latach, kiedyśmy je sami zapomnieli, mogą być tematem rozmów i komentarzy w jakimś pałacu, gdzie odnajdujemy je ze zdumieniem, niby nasz własny list w cennej kolekcji autografów.

Zwykli światowcy mogą bronić swoich zbyt obleganych drzwi. Ale drzwi Guermantów nie oblegano. Ktoś obcy prawie nie miał sposobności przekroczyć ich. Skoro księżnej zwrócono na kogoś uwagę, nie troszczyła się o jego ewentualne walory światowe, bo to była rzecz której ona sama używała i tem samem nie mogła jej przyjąć z zewnątrz. Brała w rachubę jedynie istotne wartości takiego człowieka, a pani de Villeparisis i Saint-Loup upewnili ją, że je posiadają. Ale z pewnością nie byłaby im uwieryła, gdyby nie zauważyła, że nie mogą mnie nigdy ściągnąć wówczas gdy pragną, zatem że nie zależy mi na „świecie”, co zdawało się księżnej rękojmią, że ktoś obcy należy do „ludzi przyjemnych”.

Trzeba było widzieć, jak, wśród rozmowy o kobietach których niebardzo lubiła, natychmiast zmieniała się księżnej twarz, jeśli, z okazji którejś z tych pań, wymieniło się naprzykład jej bratową. „Och! urocza jest”, powiadała księżna o nieznajomej, tonem subtelnej i niezłomnej pewności. A jedyną racją, którą to uzasadniała, był fakt, że owa dama nie dała się przedstawić margrabinie de Chaussegros i księżnej Sylistrji. Ale nie dodawała że ta dama nie zgodziła się również, aby ją przedstawiono jej samej, księżnej de Guermantes. Ale tak było, i od tego dnia, myśl księżnej siliła się odgadnąć, co może się dziać w domu osoby tak trudnej do poznania. Umierała z ochoty bywania u niej. Ludzie z wielkiego świata tak przywykli być celem zabiegów, że ktoś kto ich unika, wydaje się im jakimś feniksem i przykuwa ich uwagę.

Czy prawdziwą pobudką zaproszenia mnie stała się w duszy księżnej de Guermantes (od czasu jak jej już nie kochałem) okoliczność, że się nie ubiegałem o towarzystwo jej krewnych, gdy oni ubiegali się o moje? Nie wiem. W każdym razie, zdecydowawszy się mnie zaprosić, chciała mnie ugościć tem co miała najlepszego, wykluczając tych swoich bliskich, którzy mogliby mnie zrazić do jej domu, o których wiedziała że są nudni. Nie wiedziałem, czemu przypisać zmianę kierunku księżnej, kiedym ją ujrzał, jak zbacza ze swojej astronomicznej drogi, siada koło mnie i zaprasza mnie na obiad: wszystko skutek jakichś przyczyn, nieznanych z braku specjalnego zmysłu, któryby nas oświecał w tej mierze. Wyobrażamy sobie, że ludzie, których mało znamy – jak ja księżnę – myślą o nas jedynie w rzadkich chwilach kiedy nas widzą. Otóż ta idealna niepamięć, jaką im przypisujemy w stosunku do nas, jest najzupełniej dowolna. Tak iż, podczas gdy w absolutnej ciszy, podobnej do ciszy

pięknej nocy, wyobrażamy sobie rozmaite królowe salonów, wędrujące po niebie w nieskończonej odległości, nie możemy się powstrzymać od przykrego lub miłego wstrząsu, kiedy niby aerolit z wyrytem naszym nazwiskiem, któreśmy uważali za nieznanne na Wenus czy na Kassiopei – spadnie na nas zaproszenie na obiad albo złośliwa plotka.

Może czasem, na podobieństwo perskich królów, którzy, wedle *Księgi Estery*, kazali sobie odczytywać rejestry, gdzie były zapisane imiona osób szczególnie im oddanych, pani de Guermantes, przeglądając listę życzliwych ludzi, powiedziała sobie o mnie: „Tego trzeba zaprosić na obiad”. Ale inne myśli rozprószyły jej uwagę

(Nad ważnemi sprawami nieustanna praca  
Wciąż ku nowym przedmiotom władcy myśl obraca)

aż do chwili, w której ujrzała mnie samego niby Mardocheusza u bram pałacu; skoro zaś mój widok odświeżył jej pamięć, zapragnęła mnie, niby Assuerus, obsypać swemi dary.

Ale muszę powiedzieć, że po zdziwieniu któregoś doznał w chwili gdy mnie pani de Guermantes zaprosiła, miało nastąpić zdziwienie wręcz przeciwnego rodzaju. Kiedym uważał za skromniejsze i wdzięczniejsze z mojej strony nie ukrywać tego pierwszego zdziwienia, ale przeciwnie wyrazić bodaj z przesadą – radość jaką ono kryje, pani de Guermantes, już spiesząca się na ostatnie przyjęcie, powiedziała, niemal jako usprawiedliwienie i z obawy że ja nie wiem dobrze kto ona jest, skoro mnie zdziwiło że ona mnie zaprosiła: „Pan wie, ja jestem ciotka Roberta de Saint-Loup, który pana bardzo lubi, zresztą spotkaliśmy się już tutaj.” Odrzekłem że wiem o tem i dodałem, że znam także pana de Charlus, który „był bardzo miły dla mnie w Balbec i w Paryżu”. Pani de Guermantes wydała się zdumiona; spojrzenia jej zdawały się kierować – jakgdyby dla sprawdzenia czegoś – na dawniejszą już stronicę wewnętrznej księgi. „Jakto, pan zna Palamedę? Imię to nabierało w ustach pani de Guermantes wielkiej słodyczy z powodu bezwiednej prostoty, z jaką mówiła o człowieku tak świetnym, który dla niej był tylko szwagrem, kuzynem, towarzyszem lat dziecinnych. I w mętną szarość, jaką było dla mnie życie księżnej de Guermantes, imię **Palameda** wносиło jakby jasność długich letnich dni, w których bawiła się z nim jako młoda dziewczyna w parku w Guermantes. Co więcej, w owej oddawna minioniej epoce ich życia, Oriana de Guermantes i jej kuzyn Palamed byli bardzo różni od tego czem się stali potem; p. de Charlus zwłaszcza, całkowicie oddany pasjom artystycznym – później tak skutecznie poskromionym, iż zdumiałem się, słysząc, że to on malował olbrzymi wachlarz w czarno-żółte irysy, który rozwijała w tej chwili księżna. Mogłaby mi także pokazać sonatinę, którą niegdyś skomponował dla niej. Nie miałem pojęcia, że baron posiada wszystkie te talenty, o których nie mówił nigdy.

Powiedzmy mimochodem, iż pan de Charlus nie był zbyt kontent, że go w rodzinie nazywano Palamedem. Co się tyczy zdrobnienia „Mémé”, możnaby jeszcze zrozumieć że mu się ono nie podoba. Te idiotyczne skróty są znakiem niezrozumienia arystokracji dla własnej poezji (judaizm okazuje zresztą takie same niezrozumienie, skoro jednego z siostrzeńców lady Rufus Israel, mającego na imię Mojżesz, nazywano potocznie w towarzystwie „Momo”), a zarazem jej troski o to aby się nie wydawało iż przywiązuje wagę do tego co jest arystokratyczne. Otóż, p. de Charlus miał na tym punkcie więcej poetyckiej wyobraźni i więcej ostentacyjnej dumy. Ale przyczyną, dla której nie lubił zbytnio zdrobnienia **Mémé**, było widocznie co innego, skoro niechęć barona obejmowała także imię **Palamed**. Faktem jest, iż w poczuciu że pochodzi z udzielnej rodziny, byłby chciał, aby brat i bratowa mówili o nim „Charlus”, tak jak królowa Marja Amelja lub księżę Orleanu mogli mówić o swoich dzieciach, wnukach, bratankach i braciach: „Joinville, Nemours, Chartres, Paris”.

– Co on za ciuciubabki urządza ten Mémé! wykrzyknęła księżna. Mówiliśmy mu dużo o panu; oświadczył, że byłby bardzo rad pana poznać, absolutnie tak jakby pana nigdy nie widział na oczy. Niech pan przyzna, że on jest zabawny! i – choć to może niebardzo ładnie z mojej strony tak

mówić o szwagrze, którego uwielbiam i którego rzadkie przymioty podziwiam – chwilami trochę niepoczytalny?

Bardzo mnie uderzyło to słowo zastosowane do pana de Charlus; pomyślałem że ta jego niepoczytalność tłumaczy może niektóre rzeczy, na przykład jego upojenie pomysłem poproszenia Blocha aby zbił własną matkę. Uświadomiłem sobie, że p. de Charlus jest trochę niepoczytalny nie tylko w tym co mówił, ale w sposobie w jaki to mówił. Za pierwszym razem kiedy się słyszy adwokata lub aktora, zdumiewa nas ich ton, tak różny od zwykłej rozmowy. Ale ponieważ zdajemy sobie sprawę że wszyscy to uważają za całkiem naturalne, nie mówimy nic innym, nie mówimy nic samym sobie, poprzestajemy na ocenie stopnia talentu. Conajwyżej myśli się o aktorze z Komedji Francuskiej: „Czemu, zamiast spuścić poprostu rękę, opuszcza ją przerywanymi ruchami co najmniej przez dziesięć minut?” lub o jakimś Labori, czemu, od chwili gdy otworzył usta, wydaje nieoczekiwane tragiczne dźwięki aby powiedzieć najprostsza rzecz? Ale, ponieważ wszyscy przyjmują to *a priori*, nie razi to nas. Tak samo, po zastanowieniu stwierdzało się, że pan de Charlus mówi o sobie z emfazą, tonem zgoła odmiennym od tonu zwykłej rozmowy. Właściwie powinny się co chwilę mówić mu: „Ależ czemu pan tak głośno krzyczy? Czemu pan jest taki arogancki? Ale zdaje się, iż wszyscy akceptowali milcząco że tak już jest. I wchodziło się w krąg osób, które przysłuchiwały się z zachwytem gdy on perorował. Ale w pewnych momentach, ktoś obcy pomyślałby, że słyszy krzyki warjata.

– Ale czy pan jest pewny, że panu się nie myli, że pan w istocie mówi o moim szwagrze Palamedzie? dodała księżna z lekką impertynencją, jaką barwiła się u niej prostota.

Odpowiedziałem że jestem absolutnie pewny i że p. de Charlus musiał nie dosłyszeć mego nazwiska.

– I cóż, muszę pana pożegnać, rzekła jakby z żalem pani de Guermantes. Muszę zajść na sekundę do księżnej de Ligne. Pan tam nie idzie? Nie, pan nie lubi świata? Ma pan wielką rację, to rozpaczliwe. Gdybym ja nie musiała! Ale to moja kuzynka, toby było niegrzecznie. Żałuję tego samolubnie, dla siebie, bo mogłabym pana tam zawieść, nawet potem odwieść do domu. Ha! więc do widzenia, i cieszę się na środę.

To, że p. de Charlus wstydział się mnie przed panem d'Argencourt – przypuśćmy. Ale żeby przed własną bratową, i to mającą o nim tak wysokie pojęcie, wyparł się mojej znajomości – tak naturalnej, skoro znałem i jego ciotkę i jego siostrzeńca – tego nie mogłem pojąć.

Trzeba mi jeszcze zaznaczyć, że, z pewnego punktu widzenia, pani de Guermantes posiadała prawdziwą wielkoduszność, polegającą na całkowitem wymazaniu tego, co by u innych zostawiło nieuchronne ślady. Gdyby mnie nie spotykała nagabującego ją, goniącego za nią, tropiącego ją w czasie rannych spacerów; gdyby nigdy nie odpowiadała na mój codzienny ukłon z wyraźnym znużeniem; gdyby nigdy nie odprawiła z kwitkiem Roberta kiedy ją błagał by mnie zaprosiła, nie mogłaby być dla mnie szlachetniej i naturalniej uprzejma. Nie wdawała się w retrospektywnie wyjaśnienia, w półsłówka, aluzje, dwuznaczne uśmiechy; w swojej obecnej życzliwości, bez oglądania się wstecz, bez zastrzeżeń, miała coś równie hardo prostolinijnego jak jej majestatyczna postawa; urazy, jakie mogła żywić do kogoś w przeszłości, były tak całkowicie obrócone w popiół, nawet ten popiół tak był wymieciony z jej pamięci, lub przynajmniej z jej zachowania się, że patrząc na jej twarz w chwili gdy traktowała z najpiękniejszą prostotą coś, co u tylu innych byłoby pretekstem do rekryminacji i dąsów – miało się wrażenie jakiegoś oczyszczenia.

Ale o ile czułem się zdumiony odmianą księżnej w stosunku do mnie, o ilez bardziej dziwiłem się znajdując w sobie znacznie większą jeszcze zmianę w stosunku do niej. Jakże niedawną była chwila, kiedy odzyskiwałem życie i siły jedynie w momencie, gdy – budując wciąż nowe projekty – znalazłem kogoś, ktoby mnie mógł do niej wprowadzić i ktoby, po tem pierwszym upojeniu, dostarczył wielu innych upojeń mojemu coraz to bardziej wymagającemu sercu. Niemożność wymyślenia czegoś kazała mi jechać do Doncières do Roberta. I teraz oto miało mną wzruszenie, będące następstwem jego listu, ale z powodu pani de Stermaria, nie zaś pani de Guermantes.

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.